

Józef Ignacy Kraszewski

Królewscy synowie t.2



calibre 0.9.27

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

KRÓLEWSCY SYNOWIE

POWIEŚĆ Z CZASÓW WŁADYSŁAWA HERMANA

I KRZYWOUSTEGO

TOM II

Zamknięty więźniem w tych izbach kruszwickiego zamku, w których szukał

po bitwie schronienia, nie wiedział Zbigniew nawet, co się działo dokoła, oprócz swej straży milczącej nie widując nikogo.

Przygotowywał się, rozmyślał nad obroną swej sprawy, gdyby go badano, ale od króla nikt do niego nie przyszedł, głucha cisza go otaczała. Zahoń towarzyszący mu trochę miał więcej swobody, lecz go przynajmniej na podwórce wypuszczano, mógł też czasem coś posłyszeć i przynieść. Lecz wieści te skąpe były. Wojska królewskie od zatrutych brzegów Gopła odciągnęły, obóz zwinięto, na grodzie tyłu tylko ludzi pozostało, ile do strzeżenia go było potrzeba. Na poboju nad jeziorem dla niedostatku wody i wielkiej ilości nie pogrzebionego trupa królewscy długo nie mogli pozostać. Zgnilizna z ciał tyłu śmiertelnymi wyziewy napełniała powietrze, z miasta nie pozostało nic oprócz węglów nie dopalonych i zamku, który ocalał; biskup nawet wyniósł się z tego pustkowie, jednego kapłana tylko zostawiając przy kościele.

Zbigniewa jak prostego więźnia zaopatrywano w pierwsze do życia potrzeby, nie troszcząc się o nic więcej, jak, by nie umarł z głodu. Strawę mu dawano też samą, co straży, nikt ani spytał, czy czego nie potrzebuje. Dumnego królewicza więcej bolała ta wzgarda i zapomnienie, niżby może zemsta i męczarnie wymyślne dręczyły. Cierpiał milczący, lecz w duszy zbierało się zemsty pragnienie. Od wszystkich w świecie, nawet przez ojca był zapomniany. Zahoń pytany przynosił

mu zawsze prawie jednostajne wieści z ust straży pochwytnych, osobiście go nie obchodzące — nikt ani się zgłosił, ani spytał, ni dowiedział o niego. Zdawał się przeznaczonym na powolne gnicie w tych murach, razem z trupami na Gople.

Upłynęło tak tygodni parę, gdy dnia jednego wpadł Zahoń z wiadomością, że na kruszwickim zamku dla wody zepsutej i chorób między ludźmi załoga wytrwać nie może, zatem ją i ich gdzieś zapewne indziej przesadzą. Dokąd? Zahoń się nie mógł dowiedzieć.

Jednego mroźnego ranku jesieni ujrzał Zbigniew przez drewniane okien

kraty, że konie z szop wyprowadzano i ludzie się krzątali żywo. Ruch na pustym zwykle i cichym zamczysku był nadzwyczajny, radość jakaś nieznana brzmiała w głosach ludzi, bo wszystkim szczęściem się wydawało uciec z tej pustki, w której oddychać było ciężko, żyć straszno i powolnie konać musiał każdy, czując, jak zeń życie ucieka.

Wysłany Zahoń potwierdził, iż z Kruszwicy wyciągać mają. Zimny był

dzień, a królewicz odzieży innej nie miał nad tę, którą w dzień bitwy wdział na siebie. Gdy sotnik, co mu miał towarzyszyć, wszedł do izby, zażądał Zbigniew kożucha na drogę. Dano mu prosty, nie powleczonej niczym, barani, zdjęty z któregoś z ludzi, bo innego dlań nie było. Koń też, na którym miał podróż odbywać, z szerścią najeżoną, obrosły, dziki, niepańsko wyglądał. Podesłano kawał sukna grubego, a sznury za wodze służyły. W podwórku gęsta straż otoczyła Zbigniewa z oszczepami

w rękę i tak ruszyli za wrota. Pierwszy raz od pamiętnego dnia bitwy Zbigniew miał spojrzeć na dzieło swoje. Z Kruszwicy nic prawie nie zostało. Tam, gdzie było miasteczko, ani jednej całej chałupy ogień nie oszczędził, w kilku tylko miejscach powracające zbiegi sklecili ubogie szałas. Czarne zgliszcza szeroko zalegały stopy wzgórza, gdzieniegdzie sterczały na nich nie dogorzałe belki i ściany.

Od jeziora wiatr przynosił woń jakąś straszną, która upajała i truła. Wody stały gęste i mętne, gdzieniegdzie brudną pleśnią okryte. Nad nimi ptacy podlatywali, krzyząc żałośnie. Nigdzie człowieka, bydłęcia, znaku życia — śmierć dokoła i zniszczenie.

Na zrytym końskimi kopytami poboju trawa porosnąć nie miała czasu, czerniało nierówne, poszarpane, świecąc gdzieniegdzie kośćmi, jak przez kruki i dzikiego zwierza odartymi.

Zbigniew, choć niewiele czucia miał, wzdrygnął się patrząc. Jakby

naumyślnie straż go powiodła kawał drogi wzdłuż tego poboju mogiłami zasianego, na którym czaszki pod kopyta końskimi chrupały zgniecione, ponad zagniętymi wody jeziora, pluszczącymi skargą umarłych. Wiatr jakiś nagle zerwał

się od Gopła i świstał, jęczał, szumiał głosami dzikimi. Zahoń spuścił głowę, spojrzeć nie śmiał, uszy sobie zatulił kołnierzem, drżał cały, zdało mu się, że duchy zabitych widzi przed sobą. Rad był popędzić konia, ale straż wolno jechały, pospieszać nie dając.

Do Zbigniewa nikt nie mówił słowa, jechał sam z Zahonem, jak

opuszczony, wzgardzony winowajca, którego na stracenie prowadzono. Sotnik Mrowiec, człek prosty, raz czy dwa z ukosa na królewicza spojrzawszy, nie okazywał dlań dobrej woli ani się myślał zbliżyć do niego. Zahoń go zagadywał

kilka razy, dokąd jechali, nie odpowiedział mu nic, tylko ramionami potrząsnął.

Zbigniew trwożyć się zaczynał. Drugiego dnia, gdy Zahoń próbował znów sotnika badać z pokorą, prosty człek odrzekł szydersko:

— Nie bójta się, będzie wam dobrze! Kto się dostał w ręce naszego pana miłościwego, wojewody Sieciecha, z rąk się jego żyw nie wydobędzie. Wy jemuście pod straż oddani, czego więcej chcieć? Przykazanie jest, gdyby który uciekać chciał, oszczepem go!

Słyszał to Zbigniew, dreszcz poszedł po nim. Ani on, ani Zahoń kraju

otaczającego nie znali, odgadnąć więc nie mogli, dokąd ich prowadzono. Na noclegu, zza ściany przysłuchując się ludzi rozmowie, Zbigniew pochwycił

nazwisko Gniezna kilkakrotnie powtórzony. Z tego się domyślił, że zapewne ich na gród ten prowadzono. Skłonny do tłumaczenia sobie na dobre tego, co go spotykało, nabrał królewicz lepszej myśli. W Gnieźnie prędzej żywą twarz zobaczyć, głos ludzki posłyszeć mogli. Przy kościele znajdowali się księża liczni, do których Zbigniew uciec się miał nadzieję i przez nich coś może u

króla uzyskać.

Myśli różne snuły mu się zawczasu po głowie. Roił przez drogę całą. Zahoń, który w początkach widział go ponurym i niemal zrozpaczonym, zdziwił się, gdy drugiego dnia zobaczył pana uśmiechniętym, mrugającym oczyma,—dosyć żwawo i ochotnie zabierającym się do dalszej drogi.

Powolnie bardzo posuwał się ów orszak królewiczowski, wynędzniałe mając konie, słabych Ludzi. Stawano ciągle na spoczynki, popasano często i długo nad miarę, na noclegi stawano zawczasu, ruszano z nich późno. Nikomu widać spieszno bardzo nie było. Wreszcie nad wieczorem dnia jednego pokazała się Lechowa góra i gnieźnieńskie zamczysko. Z dala już widać było bielejące jaśniej mury kościoła, który teraz dopiero, po zniszczeniu owym za bezkrólewia po Mieszku i łupieży czeskiej, odbudowywano. Zmierzchno zupełnie, nim się, powoli wlokąc, do okopów i bramy zamku dostali.

Tu, dokoła grodu, cale inne niż w Kruszwicy było życie, ludu mnóstwo, wozów wieśniaczych po drodze, pieszych i konnych żołnierzy na zamek i z zamku spieszących. Podwórce obszerne, do których się dostali, pełne też były różnego tłumu. Wśród żołnierzy przesuwało się duchowieństwo, które w części kościoła odrestaurowanej już nabożeństwo odprawiało; robotnicy też obcy, jak z odzieży poznać było łatwo, do budowy i ozdoby świątyni sprowadzeni, w znacznej się liczbie kręcili. I języki słychać było rozmaite wśród tłumu.

Gdy gromadka przybyła stanęła w dziedzińcu, wyszedł zaraz starosta

grodowy (*castellan*), człek stary, szubą okryty, w czapce ogromnej, za nim klucznik i inna czeladź, aby przyjąć królewicza z rąk straży. Nikt mu jednak i głową nie skinął. Z konia zsiadłszy, pod strażą iść musiał pieszo na tylną, część zamku, gdzie dlań izba stała gotowa jedna, a przed nią druga, w której stróże pilnować go mieli. W oknach tej izby pustej, w której ledwie ławy brudne, stół

prosty, a w rogu tarczan był sianem przyrzucony, błon nawet na zimę nie wprawiono, tylko kraty gęste i okiennice zasuwane.

Zawiedziono go tu, nie mówiąc doń, nie spytawszy o nic, ledwie nań patrząc, jak prostego winowajcę, którego jutro tracić mają. Starosta drzwi i okien mocy próbował, stróżom wydał rozkazy i poszedł precz, jak by Zbigniewa unikał.

Zahoń się musiał upominać o skórę na posłanie, o jadło po drodze głodnej, o ogrzanie izby zimnej. Zbigniew milczał. Naniecono ognia trochę z mokrych gałęzi, który więcej dał dymu niż ciepła. Noc zaszła ich słuchających świstu wichru, który szalał do rana, bijąc o ściany, wciskając się do środka, mimo pozasuwaných okiennic.

Choć przyjęcie to złą wróżbą było dla królewicza, Zbigniew nie stracił

nadziei. Zahoń patrzył mu w oczy zdziwiony, przybity, nie rozumiejąc go, zbywany szyderstwami i łajaniem. Jemu tu nie lepiej było, cudzo jeszcze i z ludźmi obcymi ciężko, bo się obchodzili z nim ostro i surowo. Trzeciego dnia rano Zbigniew stał z twarzą rozjaśnioną, jak by mu się co szczęśliwego zdarzyło, zawołał do siebie Zahonia i zburczał go za ponure wejście.

— Idź mi zaraz — rzekł — do starosty, powiedz mu ode mnie, zem księdza nie widział od dawna, mszy nie słuchał, spowiedzi nie odbył, tego i na ścieżce idącym nie odmawiają. To mówiąc uśmiechnął się, chlubiąc przed Zahonem chytryością swoją, na której ten się nie poznał. Poseł spełnił, co mu polecono.

Starosta wysłuchał, nie odpowiedział nic i ręką go odprawił. Powrócił z niczym, ale z południa Zbigniew, który znaczniejszą część dnia wylęgał się na posłaniu, postrzegł przybywającego duchownego. Prośba została spełnioną. Wszedł

krokiem powolnym, nogami sunąc, przygarbiony staruszek w czapce z uszami, z kijkiem w rękę, pozdrawiając wedle obyczaju chwałą Chrystusową.

Królewicz uradowany zerwał się doń żywo i pospieszył do ręki. Zahoń

stojący z boku zdziwił się, widząc go nagle tak zmienionym, jak by innym był

człowiekiem. Postawę przybrał pokorną, jaką miał, gdy klerykiem był jeszcze, twarz smętną i spokojną, szedł z oczami spuszczone ku ziemi. Zuchwalstwo obozowe i buta znikły, zastąpił je wyraz niedoli, pogńębienia i poddania się nieszczęśliwemu losowi.

Ksiądz, zapewne uprzedzony, spoglądał nań z ciekawością, a razem pewnym niedowierzaniem. Usiadł mrużąc coś niewyraźnie i wpatrując się w człowieka, który litość musiał obudzić.

— Ojciec mój — począł Zbigniew głosem do postawy zastosowanym —

najnieszczęśliwszego z ludzi widzieć przed sobą, niewinną ofiarę za grzechy cudze pokutującą, oszczerstwem obłudzaną, oczernioną złością ludzką. Aliści nie żałę się za grzechy pokutując i skarbiąc sobie łaskę Bożą, boleję tylko nad jednym, że mi największy skarb na ziemi, miłość i serce ojcowskie wydarło. Wszelkiej pociechy pozbawiony, jako prosty niewolnik do ciemnicy rzucony, cierpię w pokorze dopust i krzyż Pański!

Mówił to z takim uczuciem, gorąco, serdecznie, iż księdza poruszył.

— A po cóż było, dziecko moje — odezwał się staruszek — po co było

Chrystusowe porzucać gniazdo i suknię zwlekać, co pokój duszy daje?

— Gwałt mi uczyniono, ojciec! — odparł Zbigniew. Ksiądz popatrzał nań, potrząsając głową, widać było, że pragnął uwierzyć w to, co słyszał, a lękał się być łatwowiernym i oszukanym.

— W klasztorze — ciągnął dalej głosem skruszonym królewicz — miałem,

choć zapomniany przez ojca ziemskiego, niebieskiego Ojca pociechę, wspólną modlitwę z braćmi, w ofierze codziennej uczestnictwo, tu i tego jestem pozbawiony.

Tak się rozpoczęła rozmowa, w ciągu której Zbigniew usiłował się okazać pobożnym, stęsknionym za religijną pociechą, błagając, aby mógł kiedy niekiedy przynajmniej przypuszczonym być do

wspólnej z duchowieństwem modlitwy.

Staruszek słuchał tego wylewu wyrazów, płynących z ust królewicza obficie, łatwo, przekonywująco. Z początku uszom wierzyć nie chciał, później z wolna się dając ując wymowie, której głos nawet drżący i łzawy dopomagał, uległ wrażeniu miłemu dlań. Znalazł człowieka potępionego lepszym, niż się spodziewał. Począł

pocieszać więźnia. Nie śmiał mu jeszcze nic obiecywać, lecz przyrzekał się starać, aby losowi jego ulżono i dozwolono mu, choć pod strażą, chodzić do kaplicy i do spowiedzi przystępować. Ucałował ręce jego Zbigniew, a gdy staruszek, dłużej nad zamiar zasiedziawszy się, ruszył ku drzwiom, odprowadził go zgięty wpół do progu.

Ledwie się za nim drzwi zamknęły, a ów królewicz tak nieszczęśliwy

zmienił się w zuchwałego młokosa, jakim był przedtem. Zahoń stojący w kącie osłupiał. Twarz Zbigniewa rozmarszczyła się, oczy przymrużyły szydersko, usta otwarły uśmiechem, ukazał na drzwi i zatarł ręce. Zahoń, proste chłopię, z uwielbieniem był dla swego pana, który tak sztucznie mienić się umiał, popatrzał

nań i poszedł w swój kąt rozmyślać nad tą dziwną naturą pańską.

Drugiego dnia już na mszę ranną pozwolono Zbigniewowi do kościelnej

kaplicy. Czcigodny starzec, arcybiskup Marcin, wedle dawnego, kościelnego obyczaju, na biskupim tronie siedział za ołtarzem i teje mszy przez kapelana swego odprawianej słuchał. Zbigniew w owym brudnym kozusku, w lada jakich chodakach, z włosami odrosłymi, które mu się w nieładzie jeżyły na głowie, blady, wymęczony, stał nieszczęśliwy, widokiem swym istotnie serce mogąc litościwie poruszyć. Było to przecież królewskie dziecię! Arcybiskup Marcin znanym był z wielkiego miłosierdzia i cnoty chrześcijańskiej. Ujrzawszy tę królewską krew w takiej poniewierce i poniżeniu, zapłakał nad losem biednego więźnia. Słyszał już o nim od staruszka o. Laurentego, który wprost doń wczora poszedł, niosąc mu obraz tej niedoli i skruchy. Przez cały czas mszy świętej arcybiskup patrzył na królewicza, po kilkakroć ocierając oczy.

Gdy się msza skończyła, odprowadzono jeńca nazad, ale miał już opiekuna i obrońcę.

Tegoż dnia arcybiskup wezwał do siebie starostę grodowego, dla którego najwyższy dostojnik duchowny królestwa na równi był z królem. Należała mu też sama cześć i posłuszeństwo. Począł go badać staruszek o więźnia, dając do zrozumienia, że choć rozkazy Sieciecha ostre i surowe były, miłości chrześcijańska ulżyć losowi królewskiego syna nakazywała. Rada arcypasterza była rozkazem. Za nią wnet poszło i lepszej łoże, i odzież nowa, i strawa znośniejsza. Zwycięsko na to wszystko ukazywał Zahoniowi królewicz, ale gdy o. Laurenty przychodził lub kto z zamkowej straży go odwiedzał wracał, do smutku i pokory, wydając się im niewinnym barankiem i ofiarą.

Gdy znowu kiedyś przybył o. Laurenty, począł mu obszernie opisywać

królewicz niemal ze łzami, jaką przemocą, mimo próśb i zaklęć, z klasztoru go wyrwano, jaką nad

nim w obozie tyranie wywierano, zmuszając do powstania przeciwko ojcu własnemu. Poruszył tym do głębi staruszkę, który zupełnie mu uwierzywszy, starał się go pocieszyć.

Rozeszła się potem po zamku wieść, jakiego to bogobożnego młodziana

trzymano w srogiej kaźni z winy tych zdrajców, co za narzędzie go używszy, sami wprawdzie marnie zginęli, ale królewiczowi świat zawiązali. Oburzał się nade wszystko arcybiskup Marcin i płakał nad sponiewieraną krwią królewską, a gdy mógł, potajemnie ze stołu swojego posyłał jedzenie i droższe nad nie słowa otuchy i nadziei.

Arcybiskup Marcin stał na czele duchowieństwa polskiego, tak jak kościół

gnieźniński był matką wszystkich innych w kraju całym; na równi z królewską była powaga jego i władza, a poniekąd nawet przechodziła ją, gdy szło o sprawy

wiary i sumienia.

Pobożny król, chociaż ulegał ślepo Sieciechowi, posłuszniejszym jeszcze kościołowi być musiał. Uczył przykład Szczodrego, świeży jeszcze, uległości dla duchownej władzy. Na tę miłość, jaką sobie pozyskał, zarabiał Zbigniew nadzwyczajną pokorą i rezygnacją. Słuchając mszy świętej, najczęściej wobec arcybiskupa, korzył się, padał na ziemię, wzdychał i łzy ocierał, a wróciwszy do izby, gdy nikogo nie było oprócz Zahonia, śmiał się, przechwalając przed nim, jak chytrze umiał sprawę swoją prowadzić.

— Nie będziesz żałował — mówił mu — żeś się przy mnie został, obaczysz, że postawię na swoim. Wszedłem tu, prawda, w odartym kozusku, a wyjdę w szkarłacie, jak synowi królewskiemu przyszło. Wówczas ci się też bieda terazniejsza nagrodzi.

Zahoń w końcu już w to uwierzył.

Tak stały rzeczy, gdy jednego rana, ów wierny towarzysz, powróciwszy do izby z podwórca, długo przed ogniem stał w zamyśleniu jak osłupiały, potem nagle, zwracając się do pana, zawołał:

— Miłościwy Panie! Czy też to może być, żebym ja na moje oczy widział

Marka Sobiejuchę?

— Kiedy? Gdzie? — spytał Zbigniew.

— Tutaj, dziś — odparł Zahoń.

— Marko przecie pod Kruszwicą zginął, biedaczysko — rzekł królewicz.

— Albo to on, albo rodzony brat, albo kto do niego jak dwie krople wody podobny — rzekł chłopak.

— Gdzież i jak go widziałeś? — odezwał się obojętnie Zbigniew.

— W podwórzu, tysiącnikami nad wojskiem. Nie tylko twarz, ale i głos ten sam — rzekł Zahon.

— A on? Widziałże ciebie?

— Powinien był, ale czy znać nie chciał, czy... nie wiem! — mówił

chłopak. — Patrzył się na mnie i odwrócił.

— Toć nie on chyba — rzekł Zbigniew — mało ludzi do siebie podobnych!?

Zbliżyć się było.

— Krzyczał i łajał strasznie na ludzi, w gniewie był jakimś, nie śmiałem —

rzekł chłopak. — Dziw, bo i opończa na nim taka sama. Królewicz pokiwał głową zdumiony trochę.

— Opończę widziałeś, nie człowieka — odezwał się — czy cię omyliły. W

bitwie padł.

— A! Nie — rzekł żywo Zahon — przed bitwą go nie stało. Trochę się

pozostał w tyle, a potem go już nie widział nikt.

W parę dni potem zaciekawiony Zahon, który widmo Markowe ścigał,

przyniósł z podwórza wieść, że Marko był ten sam, żyw i zdrow, ale ani znać, ani gadać nie chciał z nim, bo był w służbie królewskiej.

Kazał go do siebie przywołać Zbigniew, ale kilka dni uganiając się za nim, Zahon zbliżyć się doń nie mógł, a gdy wreszcie sam na sam, w cztery oczy go przydybał, Marko mu rzekł ze złością:

— Idź precz! Znać was nie chcę.

Rozgniewał się królewicz i począł odgrażać. W kilka dni jednak po tym zarzeczeniu się Marko zmiarkować musiał, że niebezpiecznie było syna królewskiego się zapierać, aby przez niego nie być wydanym. Sam przystąpił do Zahonia i zapowiedział mu, że się którego dnia na straż do nich wyprosi i z królewiczem zobaczy. Tak się też stało. Po głosie poznał Zbigniew zaraz gadatliwego Marka, który do niego wszedłszy, naprzód od tego począł, że wszystkie kąty przepatrzył. Kraty w oknach mocował, zasuwę próbował, a dopiero ludzi swych porozsyławszy, do rozmowy się stawił.

— Jakżeż tyś się ocalił? — zapytał go królewicz.

— Wyrażną łaską i cudem Bożym, a patrona mojego ewangelisty opieką —

zawołał Sobiejucha, ręce składając i wywracając oczy. — Do tylnej straży docierałem, aby zobaczyć, co się tam dzieje, gdy pierwszy zostałem napadnięty przez cały ufiec. Dwudziestu

położyłem trupem broniąc się,, tymczasem z tyłu ciał

mnie w łeb ogromny gbur, aż mi czerep na dwoje rozplątał. Padłem jak nieżywy na pobojuwisku. Szczęściem krzyknąłem, lecąc na ziemię: — Ratusz, Marku święty, i dwie połowy czerepa rękami ścisnąłem, a w tej chwili natychmiast się zrosły,...

cudem! A tu jak poczęli mnie końmi tratować, trupy na mnie walić, myślałem, że ostatnia przyszła godzina. Zostało mi tylko tyle luzu, żem miał czym oddychać.

Leżałem tak przyczaiwszy się do nocy; dopierom po ciemku się wydobyłem, konia pochwyciłem rannego w miasteczku, z którego trzewa wyszły. Włożyłem mu je nazad, zawiązałem chustą i na nim bez tchu leciałem dwie doby, nie jeżdżąc i nie pijąc. Dopadłem w lesie chaty litościwych ludzi i baby, która się na ziele znała. Jak zaczęła mnie smarować, we dwa dni postawiła na nogi.

Sobiejuha tchnął mocno i kaszlnął.

— Co było robić? — dodał. — Przystałem do królewskiego wojska.

Człowiek musi żyć, ale to hołota!

Opowiadał przy tym Marko różne rzeczy o koniu i o sobie takie, iż naprawdę cudu trzeba było, aby się one stać mogły. A pamięć mu się jakoś tak zmieszała od owego rozplątania czerepa, że za każdą razą coraz inaczej przygody swe opisywał.

Z mowy i całego obejścia się Sobiejuchy znać było, że równie się musiał obawiać popaść u starosty w podejrzenie jak u Zbigniewa w niełaskę. Zabawiwszy tu krótko, począł się wymykać, obawiał się bowiem, że mu nie dowierzano, i niezmiernie ostrożnym być musiał.

Nie było go potem widać długo, a gdy Zahoń, spotkawszy się z nim w

podwórzu, zapraszał, aby przyszedł, wymawiał się tym i owym, przysięgając, iż nań oko mają, że mu nie wierzą i że dla wielu nieprzyjaciół i zazdrosnych musi się na każdy krok swój oglądać.

Niewdzięczność ta Marka niewiele obchodziła królewicza, nagradzała się ona sownie coraz większą łaską arcybiskupa Marcina, który nad dzieckiem królewskim łzy ronił, widząc je ciągle tak pobożnie modlącym się, pokornym i cichym. Powoli, za jego wstawieniem się do starosty, los Zbigniewa polepszał się ciągle. Nie broniono mu chodzić do kościoła, a niekiedy przy dozorze po podwórcach ku wałom się przechadzać.

Arcybiskup posłał mu krzyżyk przez siebie poświęcony i o święte relikwie otarty; nareszcie, gdy raz z kościoła wychodził, spotkał królewicz niespodzianie sędziwego starca na drodze. Zatrzymał się o. Marcin i zbliżył ku więźniowi, nad którym tak wielką miał litość. Zbigniew przyszedł rękę jego ucałować. Prosząc o błogosławieństwo, przybrał postawę tak uniżoną i zboląłą, że arcybiskup bardziej jeszcze uczuł się przejęty losem jego.

— Nie trać nadziei, dziecko moje — odezwał się doń po cichu, zakreślając krzyż nad głową jego. — Bóg próbuje człowieka, przez cierpienie go prowadząc do doskonałości, a gdy widzi serce czyste,

odejmuje brzemię i łaskę swą spuszcza na niego. Nie trać nadziei, dziecko moje!

Powtórzywszy te słowa, oddalił się starzec świątobliwy. Zbigniew

uradowany powrócił do izb swoich, ledwie w sobie mogąc radość utrzymać.

Ulubieńca Zahonia poklepał po ramieniu i szepnął mu:

— Terazem pewien, że wyjdę z tego zwycięsko! Arcybiskup nie darmo

nadzieję mieć każe. Ma on ucho królewskie. Choćby Sieciech stokroć do surowości namawiał, przemoże arcybiskup, skłaniając do przebaczenia.

— Ha! — krzyknął unosząc się — naówczas dopiero zagramy z Sieciechem, zagramy z Bolkiem o lepszą. Ten, co siedział w więzieniu, drugich też do niego sadzać potrafi, niech wiedzą, jak to słodko żyć spętanemu.

W miarę jak arcybiskup coraz jawniej okazywał Zbigniewowi łaskę swoją, Marko też ośmielał się przybliżać, postać niekiedy w izbie, przynieść jaki mały podarek lub posiłek. Czynił to jednak zawsze tak ostrożnie, że go prędzej o srogość niż o słabość dla więźnia posądzić było można.

Zbigniew jak przyczajone zwierzę, które się w kłęb zwija, chowając zęby i pazury, samą pokorą i niewinnością okazywać się umiał. Wiedząc, że się tym przypodoba staruszkowi, w nabożeństwie szczególną okazywał gorliwość, a ilekroć przy wyjściu z kościoła mógł się do niego odezwać, opowiadał o swej miłości dla ojca, dla rodziny, o sieroctwie swym, zaręczając, iż nic nie pragnął oprócz spokoju, aby dziełami miłosierdzia Boga mógł chwalić i za ocalenie swe dziękować.

Po każdym takim wystąpieniu powróciwszy do izby, królewicz śmiał się do Zahonia, który mu uśmiechem odpowiadał, i zwierzał się przyszłych myśli.

— Zapłacą oni za moją niewolę! — mówił do wiernego sługi. — Liczę i

zbieram, co mi się od nich należy! Jak w piśmie stoi, odbiorę od nich ząb za ząb, oko za oko, nie daruję nikomu!

Zamiast wdzięczności dla sędziwego arcybiskupa, Zbigniew szydził z jego łatwowierności, wyśmiewał dobroduszość, naśladował ruchy i głos jego, rozczulenie i płacz, co głupkowatego Zahonia niewymownie bawiło.

W takim życiu dość jednostajnym dnie w Gnieźnie upływały. Gdy Sieciech wojewoda, Skarbimierz lub kto inny ze starszyny na gród przybywał, zamykano więźnia i wychodzić mu nie dawano. Po wyjeździe ich wracał do pewnej swobody i w środku zamku obracał się, jak chciał.

Lecz rok, dwa, może dłużej nawet z nadzieją przeżyć takim życiem ciężko.

Rachuba na arcybiskupa, zrazu pewna, zaczynała się coraz mniej prawdopodobną okazywać, bo skutku żadnego nie miały obietnice. Ponawiał staruszek

przysiężenie jakieś nie oznaczone, głuche, nie mówią, ani kiedy, ani jak się one spełnić mogą. Z wielkiej radości Zbigniew wpadał w rozpacz i zwątpienie. Snuło mu się już po głowie, nie spuszczać na żadne obietnice, wydobyć z zamku po kryjomu, zbiec na Pomorze, gdzie się zawsze znaleźć sprzymierzeńców

spodziewał, albo się schronić do Czech, które mu pomoc były powinny.

Zahoniowi już był nawet polecił ludzi sobie jednać i szukać środków do ucieczki, ale chłopię bojaźliwe i niezręczne do podobnej roboty wcale się nie zdało.

Łajanie i szyderstwa z niego nie pomagały; przybity nimi stawał się jeszcze mniej obrotnym. Z Markiem, jak się okazało z próby, ani mówić było o tym można.

Wtem rozeszła się wieść, że w roku tym, dnia pierwsze maja, w święto apostołów Filipa i Jakuba, kończąca w Gnieźnie katedra poświęconą być miała uroczyście. Na dzień ten zjechać miał z Płocka król Władysław, królowa, Bolko, Sieciech i wszyscy niemal biskupi z kraju całego.

Zdało się Zbigniewowi, iż arcybiskup ten właśnie dzień wybrać może, aby za nim do rodzica przemówić i przebaczenie mu wyjednać. O, Marcin wyraźnie dnia tego nie oznaczył, ale się kazał domyślać, iż chwila stanowcza się zbliżała.

II

Rok to był wcześniejszego ciepła niż zwyczajne lata. W kwietniu już

naprzód zielonością podszyły się lasy, zazieleniały strumieni brzegi, posrebrzyły łązy, wierzby bujno puściły, brzozy rozpękać zaczęły, słońce dogrzewać, a choć czasem jeszcze, po ciepłe przedwczesnym, zerwała się burza i sypnęła krupami zmarzłymi, ubieliła ziemię na chwilę, słońce wnet powracało zwycięskie, niszcząc ostatnie zimy ślady.

W końcu miesiąca już tylko dęby stały napęczniałe, a ostrożne, resztkę drzew młodymi listkami i zielonością żywą się ubrała. Ozime siewy na małych półkach gęstą zielenią zaścielały ziemię jak kobiercem, po lasach zawodziło ptastwo pieśni wiosenne, a po kotlinach widzieć już był można marcowe zajaczki małe, z panią matką uczące się kociego tańca.

Piękne te dni młodej wiosny wybrał właśnie arcybiskupi Marcin Zabawa do poświęcenia swojego ukochanego kościoła, w którym znów cudem ocalone zwłoki świętego Wojciecha ku czci wiernych wystawione były. Radowało się serce świątobliwego starca, iż wielkie dzieło mógł dokonać, pierwszy i ów kościół

główny Mieczysława i Dubrawki podnieść z gruzów, przyozdobić, piękniejszym jeszcze uczynić, niż był wprzód.

Mąż to był święty, ów starzec, który o niczym więcej oprócz chwały Bożej a miłosiernych uczynkach nie myślał, cnotą swą wyniósł się tak wysoko, bo ta, choć zazdrość obudza, w końcu złych nawet potęgą swą zwycięża. Arcybiskupie jego dostojęństwo było prawdziwym „brzemieniem za grzechy” (*onus pro peccatis*), bo, choć wysoko stała ona pierwsza katedra w ziemiach polskich, spokoju na niej ani rozkoszy zażyć nie było można. W ruinach leżały kościoły, pustkami klasztory, zdziżałemu ludowi na nowo apostołować musiano, a duchowieństwo z różnych narodowości i rozmaitych ludzi złożone, surowej do utrzymania w karności potrzebowało dłoni. Gdziekolwiek wkładało się rozprężenie, podnosiła głowę samowola, tak że do stolicy rzymskiej odwoływać się musiano i z jej ramienia zesłanymi nowy wprowadzić porządek.

Oprócz starania o dusze arcybiskup świeckich też spraw zaniedbywać nie mógł. W rozdzielonym państwie, którym Sieciech rządził, usiłując je złąć w jedno, nieustannie zwaśnionych z nim nieprzyjaciół, powstających przeciw niemu powładnych właśnie godzić przychodziło, zażegnawać burze.

Król dobry, lecz słaby, królowa płocha i na swe dostojęństwo niebaczna, a rodem cesarskim dumna, w rodzinie pańskiej gotowały się zatargi lub gorszy może nad nie zamach na władzę. Sieciecha potęga rosła, wiedzieli wszyscy, iż panowanie sobie przywłaszczyć pragnie i pory tylko sposobnej czeka. Wszystko to arcybiskup z wysokości powagi swej i duchownej władzy musiał hamować, powstrzymywać, przewidywać i zapobiegać złemu. Mąż był ducha apostołskiego, wiary gorącej, prostoty obyczaju wielkiej, który nie mądrością ziemską i rachubą ludzką, ale odwieczną prawdą drogi swoje torował. Tej on nie zrzekał się nigdy, choćby na pozór z ludzkim rozumem nie była w zgodzie. Źle czynić, aby dobrego dokonać, nie umiał: wierzył, iż cnota owoc wydać musi zbawienny,

a światłość nad ciemnościami zwycięży.

Z uśmiechem prawie dziecinnym na ustach, bez gniewu w sercu, bo tego nie znał, mąż prawy głosił prawdę i stał przy niej wiernie. Sam żył jako najuboższy kapłan, nie potrzebując dla siebie nic, dla Kościoła wymagając wiele, dla biednych oddając, jak ów patron, którego nosił imię, nie tylko płaszcz, lecz choćby nawet koszulę. Od złych odwracał się, ale się nad nimi litował i za nich się modlił. W zło zaś nierad; wierzył i nie widział go chętnie, zawsze sobie czymś dobrym, a zwichniętym tłumacząc postępkę ludzką. W jego sercu, Zbigniew znalazł litość dla siebie i usprawiedliwienie. Bolał arcybiskup nad tym, że król dziecko własne dręczył, widząc w tym raczej dzieło Sieciecha niż rodzica.

Nie mylił się w tym starzec pobożny.

Już na dni kilka przede dniem św. apostołów Filipa i Jakuba na zamku

gnieźnieńskim widać i czuć było gotującą się uroczystość wielką. Gości, duchowieństwa świeckiego i zakonnego spodziewano się wielu. Dla króla i królowej sposobiono dworzec stary, po czeskiej napaści odbudowany, dla braci biskupów gospodarz własne domostwo gotował. W podwórcach dla mnogich

dworów i czeladzi namioty stanąć miały. Drogę z zamku do kościoła wysadzono młodą brzezina, ozieniono nią budowlę, posieczoną jedliną i kosaćcem wysypywano drogi dokoła. Wszystko się cieszyło i radowało uroczystości, a szczególnie duchowieństwo, które ze wszystkich ziem, klasztorów, grodów przyływało na wesołe świętki.

Staruszek nieustannie prawie siedział w kościele albo go obchodził,

czuwając nad tą swą oblubienicą, coraz jeszcze coś starając się przyczynić ku jej ozdobie i blaskowi.

Niestety! Nie były to już czasy owe Bolesława Wielkiego, gdy złoto stosami brył leżało po skarbcach, gdy się go tysiące, grzywien rozdawało kościołowi na olbrzymie krzyże, na grube blachy do obicia ołtarzów, na naczynia do ofiar świętych. Mimo pobożności króla nie przynosiły mu wojny jego takich łupów, aby z nich dziesięcina mogła ozłocić świątynie. Owych porwanych przez Czechów krucyfiksów złotych, zasłon ołtarzowych, pod których brzemieniem łamały się wozy, nie było z czego ulać na nowo.

Świeciła jednak nowa katedra i kruszcem, i kunsztem przybrana, zawieszona oponami, kobiercami wysłana, obrazy ozdobnymi jaśniejąca. Wielki ołtarz, nad którym w powietrzu unosił się zawieszony gołąb, godło ducha świętego, niebieską, szklistą emalią okryty, stał nieco od chóru odsunięty. Poza nim ławy były dla duchownych, tron dla biskupa, pulpit ozdobny dla śpiewaka. Tu spoczywała olbrzymia księga, skarb drogi, z której czytano pieśni. Przodem odgradzała ołtarz galeria ciężka, srebrnymi obita blachami, prezbiterium od kościoła dzieląca, na której ogromne sterczały świeczniki. Nad nią, w górze na tęczu, widać było jakby w niebiosach rozpięty krzyż z obrazem ukrzyżowanego Zbawiciela, pod którym dwie boleściwe stały postacie ze załamanymi rękami, Matka niepokieszona i uczeń najmilejszy.

W pośrodku kościoła widać było na niskich, a grubych słupkach leżący

grobowy kamień Dubrawki. Święte relikwie Wojciecha leżały wedle prastarego obyczaju w krypcie podziemnej pod wielkim ołtarzem.

Świeczniki srebrne, na których, jakby splecione węże i zwyciężone

poczwary wity się zmuszone służyć światłu, obrusy śnieżne, kapy szyte perlami, okryte złotem, miała już katedra, a zakrystia była bogato zasposobiona. Składali się na nią wszyscy, świeccy i kapłani. Dzwony z blachy ukuto na nowo i głosy ich znowu wołały do modlitwy, budząc u pospolitego gminu, gdy się ozwały poważne, grozę, poszanowanie i przestach. Pogańskich jeszcze na pół obyczajów ludzie, słysząc to powietrzne wołanie, szli posłuszni do kościoła, czując się jakby ciągnięni czarodziejską siłą. W głosie tym było zarazem błogosławieństwo i groźba.

W przededniu wielkiej uroczystości arcybiskup, mszę odprawiając, zapłakał

łzami radości wielkiej: iż Bóg mu dał doczekać chwili tej, a odchodząc od ołtarza usta jego mimowolnie wymówiły przypomniane słowa Symeonowe:

— *Nunc dimitte animam meam.* (Teraz odpuść, Panie, duszę moją).

Gdy to mówił, oczy jego padły na klęczącego z boku, w przyodziewku

ubogim, z głową spuszczoną, z rękami złożonymi, królewicza Zbigniewa, który się zarazem zdawał modlić i płakać. Przechodząc około niego, stanął biskup, położył

mu ręką na głowie i szepnął:

— Nie trać nadziei, dziecko moje, chwila jest bliską.

Rzekłszy to odszedł. Zbigniew, niedługo już potrwawszy na modlitwie, wstał

i do izby powrócił. Z tej już mu teraz wychodzić nie miało być wolno, dopóki król, dwór jego, Bolko i Sieciech znajdowali się w Gnieźnie. Okna jej zakratowane wychodziły na boczne podwórze, widać z nich tylko było wrota zamkowe i drogę do dworca w części, tak że zza krat swych mógł więzień policzyć przybywających.

Na chwilę też nie oddalał się od okna.

Około południa już mnożyć się zaczęły orszaki, biskupie naprzód, gdyż wrocławski, kruszwicki, poznański i krakowski na uroczystość przybywali, rycerskie potem, wojewody Sieciecha, równający się królewskiemu, Skarbimierza, młodego Żeliszława Beliny i wielu innych panów dostojnych.

Nad wieczór wreszcie poznał albo się raczej domyślił Zbigniew dworcu

króla, ojca swojego, naprzeciw którego duchowieństwo wyszło z krzyżem i pieśnią, rycerstwo z okrzykami i dzwony kościelne ozwały się, witając go radośnie.

Z dala postrzegł postać przygarbioną na koniu i świetny orszak królowej, około której młodzież najpiękniejsza i najwykwintniej strojna, z niemiecka, się zwiјаła, i Bolkową drużynę młodą, zbrojną, rycersko wyglądającą, na której widok wstrząsł się cały zazdrością i gniewem.

A miał zaprawdę czego mu zazdrościć, bo nic piękniejszym być nie mogło nad ten świetny orszak młodego pana, w którego oczach płonęło wesołe męstwo.

Miał już naówczas Bolko, wzorem Bolesława Wielkiego, dwunastu towarzyszków dobranych wiekiem, postawą, dzielnością, którzy składali nieodstępny dwór jego, towarzyszyli mu wszędzie. Mieczyk pański wiózł ulubiony Pruszyńka, dawno już wyleczony, tarczę drugi, proporczyk trzeci; za nimi jechała służba, wszystko rażna, młoda i ochocza. Bolko nad nimi wszystkimi królował, jeśli nie urodą, to blaskiem jakimś, który bił od niego, siłą, która w nim mieszkała. Przed jego ognistym, niemal dziecięcym wejrzeniem nieraz starsi, sam Sieciech nawet, oczy spuszczałi, bo zdawał się im w duszy czytać tym czystym wzrokiem niewinnego wieku i dobywać z jej głębin ukryte w nich tajemnice.

Wojśław, ochmistrz królewicza, ciężki człek, ledwie za tą lekką jazdą poskakującą nadażał, choć konia pod sobą miał dzielnego, a sam też sprawiał się na nim, jak na rycerza przystało. Wiek i tusza już go nieobrotnym czyniły, dlatego królewicza zawsze za zbyt ni pośpiech strofował, nie tylko w obrotach, ale w myślach i postanowieniach. Był bowiem w istocie Bolko pochopny pierwszym wrażeniom, rączy do zbytku i niepohamowany, a często się zapędzał za daleko, nie patrząc za siebie. I wierzył ludziom do zbytku łącno, a słowo padało nań jak iskra na wysuszone próchno, wnet je zmieniając w zarzewie. Wojśław hamował go, lecz ognistej natury tej nic zmienić już nie mogło; życie ją coraz namiętniejszą czyniło, bo w nim spoczynku nie miał nigdy i nigdy do rozwagi czasu.

Sieciech, gdy z dala nań patrzył, krew mu się jeżyła; nie w smaku mu była ta krew kipiąca, która i na niego wylać się mogła.

Z szyderskim uśmiechem, gdy Wojśław się uskarżał na popędliwość

królewicza, Sieciech odpowiadał półgębkiem:

— Nie będzie winy niczyjej, gdy się gdzie na oszczep Pomorca natknie i zginie! Tak zwykle kończą ci zapamiętali.

Sieciechowi może koniec taki byłby na rękę wypadł i nie bardzo nastawał, aby go hamować. Jedno dziecko królewskie skazane było i zamknięte, drugie samo na zgubę się mogło nastęrczyć, naówczas Sieciech całe owo królestwo miał w dłoni. Król dogorywał i w oczach gasnął, królowa miłowała pięknego wojewodę, nieprzyjaciół miał mnogich, ale bezsilnych, wojsko liczne, wszystkie grody poobsadzone bratankami, stryjecznyimi, ciotecznymi, powinowatymi, ludźmi, których on wyprowadził z niczego, dla których górą trzymał przynętę, jak ptakowi myśliwemu mięso, gdy ma z berła lecieć na upatrzone ptaszę.

Gdy przy dźwięku dzwonów, graniu rogów i okrzykach król na zamek

wciągnął, naprzód zsiadł przed kościołem, aby się w nim pomodlić. Wprędce potem pieszo go na

zamek wiedziono. Dwu komorników słabego pana pod rękę podtrzymało.

Ci, co króla Władysława nie widzieli dawno, litowali mu się, spojrzawszy nań; blady był, jak by krwi w nim już nie stało, a mimo otaczającego wesela smutny i przybity. Tylko gdy na Sieciecha swego spojrzął, na tę otuchę i podporę, twarz mu się nieco rozpogadzała.

Sieciech dnia tego podobniejszym był sam do króla niż do wodza stojącego pod rozkazami pańskimi; on tu rozrządzał, on władał, jemu w oczy patrzano i skinienia słuchano. Wśród wszystkich górował i postawą, i twarzą, i ubiorem wspaniałym, bo nawet płaszcz na ramiona wdział, nie mogąc szkarłatu, podbity nim, a zbroję miał świecąca srebrnymi gwoździami i łańcuch na szyi z wizerunkiem króla taki sam, jaki jeden tylko Bolko, syn królewski, nosił.

W pięknej, męskiej jego twarzy widać było zarazem rycerza, silnej woli dostojnika i zalotnego człeka, który sobie serca chciał jednać. Gdy nań nikt nie patrzył, przybierała ona wyraz przebiegłości i szyderstwa. Śmiechem rad pokrywał

mądrość swą, z którą się nie zdradzał, chętniej udając niewiele o co dbającego człowieka.

Na zamku gotowe już czekały stoły, służba z pochodniami dokoła. Dla króla i królowej osobne siedzenia szkarłatem obite na podwyższeniu stały. Bolko ze swymi u wielkiego stołu miał zasiadać, duchowieństwo starsze przy królu i królowej jako im równe, miejsca zabrało; młodszy kler przodował u drugich stołów. Zwyczaj to był od Mieszka jeszcze zaprowadzony, że z książęty ich równano.

Przytomność króla i biskupów nie bardzo się głośno dała biesiadującym weselić, skromnie i z cicha rozmawiano. Uczta też, z powodu obchodzonej wigilii, postna, wkrótce się zakończyła. Wnet i znużeni drogą rozchodzić się poczęli, każdy do izby sobie wyznaczonej, a Bolko z towarzyszymi w podworcie i na zamczysko, dokąd piękna, spokojna noc wiosenna wyzywała.

Sieciech, który królowi służył razem z podkomorzymi i podczaszym, oko miał na wsze strony. Znał wszystkich, patrzył wszędzie bystro, jak by z twarzy myśli odgadywać chciał czytać.

W chwili, gdy króla wiedziono na spoczynek, skinął nań arcybiskup.

Sieciech z poszanowaniem zbliżył się do niego.

— Dajcie mi ucho na chwilę — odezwał się staruszek — potrzebuję mówić z Wami.

— Dzisiaj? — spytał wojewoda.

— Tak jest, dziś jeszcze, jest tego wielka potrzeba.

Spojrzął nań Sieciech ciekawie, skłonił się i, odprowadziwszy królestwo oboje, wrócił do arcybiskupa, który sam już z kapelanem w pustej izbie nań oczekiwał. Gdy się wojewoda ukazał, skinął na towarzysza swego biskup, aby się oddalił. Sieciech stał przed nim. Piękne starca oblicze ubłogosławione było radością tej uroczystej życia godziny.

— Wojewodo — zawołał — od Was zależy, abym jutro szczęśliwym był

jako nigdy.

— Ode mnie? — zapytał Sieciech.

— Tak, bo Wy władzę macie wielką nad sercem pana naszego, a potrzeba mi je skłonić do miłosierdzia.

Sieciech niespokojnie się poruszył, twarz zmarszczył, skłonił się.

— Król dla Was, Ojczy Przewielebny, uczyni i beze mnie, czego żądać będziecie.

— Bez Was lub przeciw Wam król albo nie uczyni nic, lub uczynionym gryźć się będzie, gdyż słusznie w Was szanuje podporę tronu swojego — rzekł starzec.

— Pierwszym sługą jestem — odparł Sieciech.

— Bądźcież doradcą dobrym — mówił o. Marcin. — Kto miłosierdzie czyni, temu ono będzie uczynionym.

Popatrzał sędziwy biskup na Sieciecha, lecz wejrzawszy nań, pogoda jego twarzy ustąpiła, rozlał się po niej frasunek. Zawahał się ze stanowczym słowem.

Po chwili milczenia począł powoli:

— Niesłusznym jest, że król jedno dziecko swoje drugie mu poświęca i srogo karze niewinnego, którego źli ludzie popchnęli do błędu. Dla Zbigniewa potrzeba prosić miłosierdzia i przebaczenia.

Wojewoda, brwi ściągając groźno, cofnął się krokiem.

— Ojczy Przewielebny — odezwał się — kapłanem jesteście, pasterzem naszym duchownym, żyjecie w Bogu, a naszego złego świata mało znacie.

Zbigniewa rozdrażniwszy wypuścić, jest to zwierzęciu dzikiemu dać wolności.

Będzie godził na ojca, na brata, na mnie, byle siłę pozyskał, mścić się zechce, państwo zakłóci. Być to nie może, nie może!

— A ja Wam powiadam, wojewodo — rzekł starzec spokojnie — iż to się

stać powinno. Niech król nasz bogobojny nie ma na sumieniu krzywdy dziecka własnego. Więzień

przez długi czas był pod oczyma moimi, patrzałem nań; pobożny jest, cichy, biedny i będzie wdzięcznym i posłusznym. Nie tylko ja, ale wielu duchownych i świeckich prosić chcą o to króla, aby dziecku nie dał ginąć i pomsty Bożej nie ściągał na głowę swą i królestwo całe. Niewinnego łąza waży wiele na szali sprawiedliwości.

— Lecz on winowajcą jest i wichrzycielem! — odparł Sieciech oburzony.

— Gdyby nawet nim był, młodość, niedoświadczenie i kara, jaką poniósł, starczyłyby już do obmycia go z winy! — zawołał arcybiskup.

Na wojewodzie prośby te i dowodzenia nie zdały się żadnego czynić wrażenia.

— Ojczy Przewielebny — rzekł Sieciech, skłaniając głowę przed starcem —

czyńcie, jako chcecie, ja mojego słowa nie dorzucę, nie zgodzę się na to, aby gadzinę puszczać, gdy ją zdusić może i ma w rękę. Królestwo się rozpadnie, a nieprzyjaciele moi i króla przystaną doń jak do chorągwi.

— Próżne to są obawy — przerwał o. Marcin. — Mówicie o nim, nie znając go. Pokorne chłopię jest.

— A na swobodzie zuchwałym się stanie — dodał Sieciech.

— Pomocy więc swej odmawiacie mi? — zapytał staruszek łagodnie. —

Wojewodo, panie miły, pomnijcie słowa Chrystusowe, które miłosierdzie, przebaczenie i litość nakazują, to prawo nasze.

Sieciech milczał długo smutny.

— Nie tylko prosić za nim nie mogę — odezwał się — ale mówić będę

przeciw niemu. Wyznaję to otwarcie. Sprawą duchownych jest rozgrzeszać, my miecz trzymamy, abyśmy karali.

Błada twarz staruszka zarumieniła się, podniósł się nieco, drgnął i hamując się mówić począł.

— Mądrość Wasza jest z tego świata, fałszywa, zgubna i omylna. Przeto mówię Wam, zawiodą Was rachuby i gdzie zbawienia szukacie, znajdziecie upadek. Nie jest danym człowiekowi widzieć naprzód, a kto myśli, że widzi przyszłość, myli się, i kto sądzi, że zapanuje losowi, łudzi się, a ten tylko, kto słucha głosu prawdy i idzie za nim, dojdzie do celu. Jesteście wojownikami i wodzami wielkimi, macie w rękę wojska i skarby, władzę i siłę, nie myślcie przeto, ażebyście wszechmocnymi byli. Bóg jeden wszechmocny. Gdy On rzecze, w proch się obróci wszystko.

— Ojczy Przewielebny — przerwał wojewoda — przebaczone mi. Nie

sprzeciwiabym się woli Waszej, gdybym nie widział niebezpieczeństwa. Króla uspokajać potrzeba, a nie poruszać. Chory jest, znękany.

— Najlepiej go uspokoje, gdy sumieniowi uczyni zadość — odparł arcybiskup.

Sieciech potrząsł głową.

— Pokoju mieć nie będziemy — rzekł — zawre wszystko i zmać się. Ojcze, zlitujcie się.

— Mylisz się, dziecko moje — przerwał o. Marcin — ukoj się wszystko, gdy sprawiedliwości zadość się uczyni.

— Ojcze! Nie czyńcie tego! Nie czyńcie! — odezwał się gorąco Sieciech, schylając się do ręki jego.

Arcybiskup z lekka rękę usunął.

— Uczynię, co mi mój obowiązek kapłański nakazuje, co każe sumienie —

rzekł spokojnie — niech będzie, co chce, a niech się stanie sprawiedliwość!

To mówiąc powstał starzec, podrażniony mocno, skinąwszy na stojącego w dali kapelana i nie zwróciwszy się już ku Sieciechowi, który stał blady i gniewny, hamując się tylko poszanowaniem dla duchownego należnym, wyszedł z izby.

Wojewoda, postawszy chwilę, zawrócił się, niepewien zrazu, dokąd ma iść.

Podszedł ku sypialni króla, ale tam ojciec Lambert głośno pacierze odmawiał, czasu których wchodzić nie było można.

Gdy się to działo w wielkiej izbie gościnnej, Bolko ze swą drużyną szedł w dziedzińce zamkowe, ciekaw wszystkiego, co spotykał. Śmiejąc się szli, opatrując każdy kąt, zaglądając we drzwi wszystkie, mierzyli place, na których wyścigi odbywać było można, liczyli, ile by ludu mógł objąć gród oblężony. Wojna i wojenne sprawy były im ciągle na myśli.

Ktoś z towarzyszków opowiadał stare Gniezna dzieje i co między ludźmi o założeniu grodu chodziło. Postępowali tak, rozpatrując się w starych domostwach, w przybudówkach nowych. Wieczornemu mrokowi przyświecająca łuna zachodnia dość dobrze jeszcze rozpatrywać się dawała, a księżyc już z drugiej strony białymi promieniami rozbijał ciemności.

Idąc tak Bolko podniósł oczy i ujrzał przed sobą nagle zza krat okna

drewnianych wyglądającą twarz. Raz tylko w życiu przemknęła mu się ona przed oczyma na poboju kruszwickim, spotkał się z nią na chwilę i zamienił

spojrzenie, które było jakby wyzwaniem do wiekuistego boju. Utkwiły mu jednak w pamięci te złe

oczy, Bolko miał je teraz znów przed sobą. Przeczuwał brata.

Zbigniew domyślił się go także, pobladł i drgnął, chciał się cofnąć, duma nie pozwoliła, pozostał w miejscu, aby nie okazać obawy.

Bolko wlepił w niego oczy błyszczące, patrzali tak długo, oko w oko,

wejrzeniem mówiąc do siebie; na ostatek Zbigniew osłabł, zadrżał i spuścił

powieki. Nie mógł wytrzymać tego spojrzenia jasnego, gorącego, które nie tało się z niczym, wybuchalo myślą swą całą, czuciem całym Ci, co otaczali królewicza, zrozumieć nie mogli tego wpatrzania się w postać jakąś bladą, nieznaną, która dla nich powszednią, nikczemną zdawała się istotą, niegodną pańskiego wzroku.

Spoglądali na Bolka, pytając go, co w niej znalazł, iż go zatrzymała, to przypatrywali się więźniowi, chcąc dojść, co w nim było tak dziwnego, by godzien był ciekawości. Milcząc stali za królewiczem, szepcząc między sobą i rozpytując się, kto by to mógł być? Nikt go nie znał.

Bolko prawie pewien był, że spotkał brata, choć znaleźć go tu się nie spodziewał. Zapomniano o nim na dworze. Sam nie wiedział, jakie się w nim obudziło uczucie na widok tej istoty wynędzniałej, wybladłej, z włosiem najeżonym, zamkniętej za kratą, co dla miłującego swobodę Bolka sroższą się zdało kaźnią nad śmierć samą. Budziła się w nim na przemiany litość i wstręt. Rad by go był widzieć wolnym, równym, zbrojnym, nie żeby go kochać może, ale by z nim walczyć; to znowu miłosierdzie czuł nad nieszczęśliwym, który życie męczeńskie wiódł w zamknięciu.

Oba tak nie ustępując wpatrywali się w siebie; Zbigniew nie cofnął się do izby, Bolko nie szedł dalej. Mimowolnie wyrwało mu się z ust:

— Ktoś ty taki?

Milczenie trwało chwilę długą, ciężki oddech tylko słychać było i ochrypy głos odpowiedział:

— A ty?

— Nie znasz mnie?

— Nie.

— Króla syn jestem — rzekł Bolko.

Zbigniew rozśmiał się złośliwie, nie był panem siebie, krew i żółć uderzyły mu do głowy.

— Byłem i ja synem króla — zawołał — a widzicie, żem dziś niewolnikiem za kratą. Patrzajcie, abyście i Wy tak nie skończyli.

Bolko rozśmiał się głośno.

— Ja? — zawołał ruszając ramionami — nie bój się o mnie! — I dodał: —

Widzieliśmy się już raz w życiu!

— Podobno — mruknął Zbigniew.

— I ty mi winienesz życie — mówił Bolbo — bom ci je mógł odebrać.

— Wolałeś, bym zginął w łykach! — odparł Zbigniew.

— Nie wiedziałem, co cię czeka, a krwią się twą mazać nie chciałem —

rzekł królewicz, postępując bliżej nieco ku oknu. — Żał mi ciebie.

Zbigniew, widząc go zbliżającego się, cofnął się nieco za kratę. Walczył z sobą, twarz układał. Gniew, którym gorzał, stłumił w sobie, aby nie wybuchnął z niego, i rzekł głosem cichym:

— Jeśli żałujecie mnie, proście za mną!

Bolesław, usłyszawszy to, stał zadumany, gdy Zbigniew, rzuciwszy słowo jakby z przymusu, cofnął się od okna.

Królewicz, podniósłszy oczy, nie widząc go, poszedł dalej, ale wesołość zastąpiło dumanie. Towarzysze milczeli, nie śmiejąc się odzywać. Kilkanaście kroków dopiero odsunawszy się, zawołał Bolko:

— Gdybym mógł, prosiłbym za nim!

— Ohydna twarz — szepnął Janko Doliwa — zza kraty wydał mi się jak zwierz dziki. Stworzony, by siedzieć za kratą.

— Straszny bo jest! — potwierdził drugi.

— Któż w więzieniu pięknym być może — zawołał Bolko, wstrząsając się całym. — Grób to jest!

— Raczej śmierć! — krzyknął Pruszyńka.

Chociaż na zamku było wesoło, oni smutni się powlekli dalej, widok tej młodej twarzy, zwiędłej za kratą, zatruł im dnia wesele.

— Gdybym był królem — odezwał się Bolko, — a zawinił mi człowiek,

dałbym mu swobodę i miecz i poszedłbym walczyć z nim, a ubić go, by nie więzić.

Każń to straszna. Zbigniewa uwolnić potrzeba.

— Wichrzyć będzie — rzekł któryś z boku — zły słyszę jest.

— Będziemy mieć sposobność do dzieł rycerskich — zawołał Bolko — i pokonamy go. Jestże co szlachetniejszego nad walkę otwartą i boje o lepszą?

— Na tych Wam i bez Zbigniewa zbywać nie będzie — śmiejąc się dorzucił

Janko. — Mamy Pomorze, stanie go na długo, Czechów też, Ruś, a w ostatku Niemców cesarskich.

Weselsza rozmowa wszczęła się już o wojnach, Bolko, z drużyną pociągnął

na spoczynek do komnat, gdzie właśnie o cudownym oswobodzeniu napadniętego przez Pomorców Santoka wieść radosną przyniesiono.

Późno z południa skończyła się zawczasu poczęta, długa uroczystość

kościelna. Otworem stała nowa świątynia, jeszcze pełna wonności, kadzideł i jakby owiana modlitwami i pieśnią, które się w niej rozlegały. Kilku ludzi stało we drzwiach, spoglądając na lśniące ołtarze. Cisza teraz uroczysta panowała w katedrze! Wesoły gwar dolatywał tu z zamku, gdzie uczta zastawiona była ze wspaniałością, na jaką wiek ów mógł się zdobyć.

Nie była ona wykwinną, dostatek wszystko zastępował. Nawet na twarzy chorego króla promieniała radość z tej chwały Bożej odnowionej, pomnożonej, ugruntowanej tu na wieki.

W otoczeniu królowej śmieszki słyhać było i żarty, Bolko rozprawiał o łowach, drudzy jeszcze o Santoku. Od wczoraj najwięcej o nim mówiono.

Cud oswobodzenia zamku od napaści pomorskiej przypisywano św.

Wojciechowi, który nim dawał znak, iż to, co uczyniono dla kościoła jego i zwłok, miłym mu było. Opowiadano o zjawionym nocą rycerzu, który Pomorzan, już wdzierających się na zamek, odegnał precz mieczem ognistym i męstwem natchnął

załogę.

Był to więc dzień powszechnego wesela, a jednak twarz, ku której oczy króla i królowej najczęściej się zwracały, Sieciechowa twarz, groźną była dnia tego i chmurną. Niepokój błyskał w źrenicach. Nikt sobie tego wytłumaczyć nie umiał.

Król też trwożyć się tym poczynął.

Sieciech nie zwykł był łącno okazywać frasunku, nie stało się nic złego, co by jawnym było, wojewoda milczący, chmurny, bezmówny musiał mieć jaką zgryzotę tajemną.

Na próżno król podnosił ku niemu oczy, wyzywające myśl lepszą, próżno królowa powoływała go ku sobie i poufale mu coś szeptała, inni też otaczali poszanowaniem tym głębszym, że się doń trwoga mieszała, wojewoda pozostał, jakim był, posępny wyraz twarzy wznagał się jeszcze. Niekiedy z ukosa badający wzrok posyłał ku arcybiskupowi i odwracał go szybko.

Ojciec Marcin promieniał dnia tego, widać było jak niewymownie się czuł

szczęśliwym; nie słyszał i nie widział, co się działo wkoło niego, był jakby w niebiesiach modlitwą duszy dziękczynną.

Uczta miała się ku końcowi. Sieciech parę razy nachylił się do ucha królowi, radząc mu spoczynek. Władysław, posłuszny ulubieńcowi, już się miał ruszyć, gdy arcybiskup podniósł się z siedzenia. Wzrokiem powiódł po stołach, przy których zasiadali biesiadnicy, jakby ich powoływał ku sobie, i ręce złożone do modlitwy podnosząc w górę, zawołał:

— Miłościwy Panie, królu nasz!

Sieciech piorunującym rzucił nań wzrokiem, król usiadł, zmuszając się do uśmiechu, blada twarz jego drgała obawą jakąś, oczy zwracały się ku Sieciechowi i na arcybiskupa na przemiany.

— Miłościwy Panie i ojciec nasz — powtórzył starzec — Bóg nam dał ten

dzień szczęśliwy, wielki, a ty, Panie, uczyni nam go dniem podwójnie drogim, dniem pokoju i łaski! Ja i ze mną młodsi słudzy twoi, miłujący cię, przychodzą do kolan twoich z prośbą.

Na skinienie arcybiskupa od stołów znaczna część biesiadników podniosła się tłumnie i, garnąc się dokoła, przed królem stanęła. Była to wprawdzie część tylko przytomnych, ale do niej przyłączyło się duchowieństwo całe, wielu z najprzedniejszych ziemian i wszyscy Sieciecha przeciwnicy.

Wojewoda, który stał blisko tej gromadki, tak iż zdawać się mogło, że do niej należał, cofnął się nagle, szum uczyniwszy, aby na siebie zwrócić uwagę i okazać, że do proszących się nie łączył.

— Wszyscy, jak nas tu widzisz, Miłościwy Panie — zawołał, głos

podnosząc, arcybiskup — błagamy cię, prosimy, zaklinamy, uczyni miłosierdzia, zwolnij sercu własnemu, domierz sprawiedliwość i łaskę. Więźniem jest syn twój, dziecko twoje, krew twa, przypuść go do serca i łaski, przebacz mu winę, uwolnij z więzów. Daj mu swobodę i droższą nad nią miłość twoją.

Król, na którego próżno Sieciech groźnie spoglądał, z radosnym twarzy wyrazem obrócił się ku arcybiskupowi, ale drżący długo przemówić nie mógł.

Oslabły, skłonny był do płaczu, łzy strumieniem z oczów mu się polały.

— Przebacz mu! Przebacz! — wołano dokoła, kilku przyklęknięto przed

królem.

Królowa blada stała, spoglądając gniewnie na Sieciecha, który rozdrażnienia nie kryjąc, czekał tylko, aż się król ku niemu obróci, był bowiem pewnym, iż bez jego rady nic się stać nie może. Im dłużej czekał na to, tym burzył się więcej. Ci, co z nim trzymali, poczęli z wolna ustawiać się koło niego.

— Czyż ojca prosić o to potrzeba? — odezwał się wreszcie król — azalibym ja nie przebaczył, gdyby bezpieczeństwo państwa dopuszczało? Mówcież Wy, sądźcie! Nie zaburzysz to i nie zakłóci nam spokoju?

To mówiąc, wzrok lękliwy podniósł ku Sieciechowi, który z głową

spuszczoną stał niemy, nachmurzony, gniewny, ledwie mogąc się wstrzymać od wybuchnięcia.

— Miłościwy Panie — rzekł wreszcie wyzwany wojewoda, miarkując głos

— nie czyńcie tego, nie czyńcie! Zwierzę dzikie wypuście na siebie i na prawe dziecię swoje.

Król czując, że będzie popartym, śmielej nieco zwrócił się ku Sieciechowi, stając już sam w obronie Zbigniewa.

— Ten też prawym jest synem moim, pierworodnym! — zawołał głosem drżącym.

Z oczu wojewody skry się posypały, królowa rzuciła swój stół i siedzenie, podeszła bliżej, poruszona, niespokojna. Król wahał się, przełękły był.

— Miłościwy Panie — począł arcybiskup. — W imię Chrystusa

ukrzyżowanego, w imię Wojciecha świętego, patrona królestwa tego, w imię świętych apostołów, których dziś uroczystość obchodzimy, zaklinam cię i błagam, usłysz głosy nasze, uczyn tak miłosierdzie, jako pragniesz, aby ci w dniu sądu straszego uczynionym było.

W niepewności wielkiej król stał strwożony, ręce, które trzymał oparte na stole, trzęsły się ze wzruszenia, łzy z oczów mu płynęły, gdy przez gromadę otaczającą króla przedarł się Bolko.

Z przestachem jakimś spojrział nań ojciec, lękając się może wymówki, gdy szlachetne chłopię rzuciło mu się do nóg i, ściskając kolana, zawołało:

— Ojcie kochany, królu miłościwy, i ja za bratem proszę, a kłaniam się do stóp twoich, przebaczcie mu, przebaczcie!

Wtem Sieciech, nie mogąc się powstrzymać, krzyknął głośno:

— Prosisz za tym, który ci odbierze królestwa połowę, spokój zamąci, a jutro cię wyzwie na rękę.

I rozśmiał się dziko.

— Królestwa mu nie żałuję — odparł młody królewicz — jest ich dosyć do zdobywania po świecie, wyzwania się jego nie lękam! Będzieli śmiały burzyć się niewdzięczny, pójdziemy nań, złamiemy go, ukarzymy.

Sieciech niemal pogardliwie spojrział na chłopaka, który po raz pierwszy wystąpił tak śmiało, i oczyma rzucił wymówkę Wojsławowi, iż dopuścił a dozwolił

na to zuchwalstwo.

— Czyń, Miłościwy Panie, jak wola twoja — zawołał Sieciech — ale racz pomnieć, że ja tej rady nie dawałem, zem był przeciwny i będę. Umywam ręce.

Stanie się złe, zaburzy się królestwo, zamąca ci pokój dni twoich, nie mnie winujcie.

Cofnął się w tył. Król błądy wahał się znowu, co miał począć. Czytał w oczach królowej gniew i oburzenie, w oczach Sieciecha obrazę i złość; były to dwie potęgi, które nim rządziły. Tylko w swym ukochanym Bolku, w starym arcybiskupie, w duchowieństwie znajdował poparcie. Co miał czynić, nie wiedział

— sam. Pot oblewał mu skronie wychudłe, ręce załamał, wzdychał ciężko, oczyma, jak by wzywając ratunku, rzucał na wszystkie strony. Wolałby był nie mieć władzy w rękach, aby nie być zmuszonym do wydania wyroku.

Wtem arcybiskup skinął ku braci swej przytomnej, wiedząc, jak wielka była duchowieństwa przewaga; wystąpił Lambert, biskup krakowski, i przemówił do króla:

— Panie Miłościwy, i ja łączę głos mój z głosem brata mojego w Chrystusie, Marcina. Czyń miłosierdzie, aby ci ono uczynionym było. Przebac, uwolnij!

Za nim wystąpił poważnie Paulin Ciołek, kruszwicki pasterz, i odezwał się głosem przejętym:

— Miłościwy Panie, sercu twemu ojcowskiemu folguj, a próśb naszych

wysłuchaj, przebacz mu!

Stał już za nim w gotowości Dionizy, poznański biskup, mąż w sile wieku, i zawołał głosem pełnym:

— Nie grożą ani postrachem stoją królestwa, ale łaską Bożą i cnotą ludzką.

Cnotą jest miłosierdzie, łaska zyskuje się uczynkiem dobrym. Przebacz mu, panie, choćby wrogiem był, zwyciężysz go miłością, przebacz!

Na ostatek mniej pewnym krokiem, na skinienie arcybiskupa, wysunął się i Filip Doliwa, biskup płocki, głosem cichym powtarzając za drugimi nieśmiało:

— Przebacz mu, panie!

Niektórzy się do nóg chylili, król płakał i łzy ocierał. Sieciechowi druhowie i poplecznicy, których on na próżno oczyma popychał, aby występowali z nim razem, nie mieli odwagi iść wbrew duchowieństwu całemu, wstydzili się namawiać do okrucieństwa, gdy drudzy do łaski skłaniali. Stali milczący, tym się ograniczając, że nie szli z innymi prosić króla za Zbigniewem. Na obliczu wojewody krakowskiego gniew pałał krwią po nim rozlaną. Pierwszy to raz publicznie złamany być miał wpływ jego i potęga. Nie szło mu już tyle o los Zbigniewa, co o własne upokorzenie. Król był mu dotąd zawsze posłusznym, teraz szedł wbrew jego rady, napomnienia i przestrogi. Jawnym było już, że Władysław sercu ojcowskiemu ulegnie.

Na czele duchownych idąc, przystąpił bliżej sędziwy arcybiskup i podnosząc ręce zawołał:

— Rzeknij słowo, panie! Wysłuchaj nas! Pomilczawszy trochę, król zdobył

się na męstwo.

— Niech się więc stanie, jako żądacie, niech się stanie! — rzekł głosem poruszonym.

I padł osłabły na krzesło.

Bolko, który stał przed ojcem, gorejąc z niecierpliwości, przybiegł doń, ucałował go w kolana i jak piorun z izby się wyrwał.

Łacno się domyśleć było, dokąd i po co. Skinął na swoich po drodze:

— Do więzienia! Za mną!!

Zrozumiał go arcybiskup, który pobłogosławił ręką z dala już uchodzącego, pozostali wszyscy na miejscach, Sieciech tylko, nie zważając na to, że go ludzie oczyma ścigali, natychmiast precz wyszedł, na swoich skinąwszy, i ci się z nim oddalili.

Bolko popędził wprost do więzienia brata. W pierwszej komorze straż napita usypiała, w drugiej cicho było. Przez szpary drzwi światło przebłyskiwało.

— Pruszyńska! — krzyknął Bolko — idź do starosty, leć do skarbcza, biegnij, gdzie i do kogo chcesz, a przynieś mi odzież taką, w którą by go można odziać przystojnie.

To mówiąc, drzwi otworzył do izby. Zbigniew siedział na ławie z twarzą pałającą. Zobaczywszy brata wchodzącego, powstał.

— Wolnym jesteś — odezwał się Bolko — wolnym i przebaczonym.

Wstawiał się za tobą arcybiskup, duchowni, panów wielu i ja. Odzienie ci przyniosą, pójdiesz do ojca ze mną.

To mówiąc, z młodzieńczą gorącością rzucił mu się na szyję.

— Bądź mi bratem! — wykrzyknął wesoło — a chcesz mi być wrogiem,

znajdziesz zapaśnika nie do pogardzenia.

Zbigniew w tej chwili pierwszego wzruszenia szczerze może Bolka uściskał, szczerze zaklął się, iż mu do zgonu wdzięcznym pozostanie.

— Zrzucaj tę odzież, żywo! — wołał Bolko — pójdiesz ze mną.

Zbigniew się zawahał nieco, po pierwszym wybuchu uczucie już ustępowało rachubie.

— Nie, bracie — rzekł — nie potrzebuję się przeodziewać, pójdę takim, jakim mnie tu znalazła łaska ojca, odartym i opuszczonym, aby ludzie wiedzieli, com cierpiał.

Nierad był Bolko temu, wołałby był, ażeby sobą nie czynił ojcu wymówki, nie stawał jako oskarżyciel; lecz Zbigniew trwał w swoim postanowieniu.

— Prowadź mnie do ojca takim, jakim mnie tu znalazłeś, prowadź, idę —

powtarzał.

Wahając się jeszcze, Bolko go chciał uprosić o przebranie, gdy Zbigniew we drzwi uderzył i wyszedł za rękę go chwyciwszy, wołając: — Chodźmy!

Wzruszenie już minęło, Zbigniew myślał, jak obudzić litość i pozyskać serca.

Straż zdziwiona, nie śmiejąc strzymywać więźnia, powiodła za nim oczyma.

Wyszli razem.

W wielkiej izbie oprócz Sieciecha czekali wszyscy; król, najmniejszy szmer słysząc, oczyma bojaźliwymi rzucił ku drzwiom, gdy nareszcie postać ta, tak różna od uroczyście i bogato postrojonych gości świątecznych, w progu się ukazała.

Zbigniew dobrze rachował. Wytarta suknia jego siermiężna, podpasana

prostym rzemieniem, chodaki na nogach podarte, włos na głowie rozczochrany, blada twarz wychudła, niezgrabne ruchy zasiedziałego w zamknięciu człowieka, czyniły królewskiego syna jeszcze politowania godniejszym. W sukni księżęcej byłby może odrażającym, w więziennej odzieży tej pokutnika budził

poszanowanie.

Spostrzegłszy króla Zbigniew, który szedł, słaniając się, krokiem

niepewnym, upadł na ziemię przed nim i pocałował nogi jego całować. Władysław wyciągnął doń rękę i pochwyciwszy go, łkając do piersi przycisnął.

Królowa nawet, która dotąd złośliwe żarty stroiła, przybrała twarz surową, ale pełną wstrętu.

Władysław długo przemówić nie mógł.

— Upadnij do nóg ojcu naszemu duchownemu — zawołał — i tym

wszystkim, co błagali za tobą. Im dziękuj, bo im winieneś wolność twoją.

Przebaczyłem ci. Pomnij, iż łaską i jesteś dzwignięty i przywrócony do praw twoich, kajaj się, bądź synem posłusznym, bądź bratu druham wiernym. Zbigniew stał i słuchał z głową spuszczoną jak winowajca.

— Ojczy Miłościwy — wyjąknął w końcu głosem złagodzone, ale

niemiłym. — Nieprzyjaciele twoi użyli mnie za narzędzie. Będę ci synem wiernym, będę bratu druham, będę królestwu twojemu obroną i służebnikiem.

Mówiąc całował ręce arcybiskupa, który też dodał głosem drżącym.

— Pomnij, pomnij, kneziu Zbigniewie, iż wzięliśmy cię na sumienie nasze.

Otoczający poczęli wołać niektórzy: — Boże, zmiłuj się nad nami! — Inni:

— Długi żywot królowi! — Królowi żywot — i panowanie!

Rozległ się okrzykami zamek i podwórza.

Oczy wszystkich zwracały się teraz ciekawie ku oswobodzonemu więźniowi; litość miał, nim się okazał, widok nędzny jego poruszył, jednak nie przystały doń serca.

Strasznym bo był ów wychowanek saskiego klasztoru, nagle przerosły na rycerza i powrócony do praw królewskiego dziecięcia. Nic nie pociągało ku niemu: wzrok dziki, uśmiech fałszywy, ruchy niezręczne, postać niezgrabna odrażała; siła tylko, którą zdawały się zwiastować rozrosłe barki, kazała się po nim spodziewać dzielnego rycerza.

Ze wstrętem patrząc na biedną odzież syna, król natychmiast przykazał

ochmistrzowi dworu, aby mu dostarczono wszystko, co dziecku pańskiemu potrzebnym być mogło, a że pora spóźnioną była, poczęli wszyscy rozchodzić się na spoczynek.

Król skinął na komorników swych, idąc prawie ze strachem, bo pewien był, że w komnacie swej znajdzie Sieciecha ze srogimi wymówkami. Wojewoda

krakowski tak był gniewnym, iż się nawet nie pokazał dnia tego królowi. Zapytał o niego bojaźliwie Władysław, powiedziano mu, że zawczasu odszedł do dworca swojego.

Osobne izby i budowle naznaczone były na zamku dla wielkiego wojewody, jak zwano Sieciecha, a raczej dla drugiego króla. Liczny jego dwór zajmował całe domostwo, przypierające do królewskiego, a przepychem nie ustępował, może przechodził pański. Więcej tu przybywało ludzi z prośbami, podarkami, pokłonami, niż do Władysława, który sam o niczym nie stanowiąc, wszystkich do Sieciecha odsyłał. Miał dlań słabość i obawiał się go razem, czując, że bez tej silnej dłoni królestwa nie utrzyma.

Wojewoda wpadł na dworzec swój, gniewny i piorunujący, ludzi poroztrącał

i długo chodził zamyślony po izbach pustych. Wnet, co było druhów jego, popleczników, ujętych przezeń ziemian, zaczęło się ściągać do wodza swego.

Wszyscy oni wtajemniczeni byli w sprawy wojewody i na powodzeniu jego przyszłość swą budowali. Między innymi wsunął się powołany ochmistrz Bolka, który także pod rozkazami Sieciecha zostawał, choć nie całkiem mu był po myśli.

Spostrzegłszy jego, Strzyża, zausznika swego, Barwienia i Smolę starostów, Sieciech krzyknął wybuchając.

— Cóż rzeczenie na to? Nie dość było jednego zapalczywego młokosa, dwu teraz będziemy mieli, obu wrogów i nieposłusznych! Król zbabiał, każdemu, kto chce, wodzić a daje!

— Uspokójcie się, uspokójcie — przebaknął z wolna, ze zwykłą sobie ociężałością — nic ani tak wielkiego ni tak straszego się nie stało.

— Sądzišże ty, że się ja uląkł tego? — zawołał Sieciech ze śmiechem szyderskim. — Nie, nie boję się, ale gniewam.

Wojśław, jak by nie słyŝał, dodał obojętnie.

— Król się o Was w sypialni dopytywał pilno, rad widzieć.

— Niech się obejdzie beze mnie — rzekł dumnie Sieciech — jak się obszedł bez rady mojej.

— Miłościwy Panie — szepnął Strzyż, podchodząc doń bliżej — azali tego nie widzicie, iż ich dwu sami się rychlej pożrą, niż tobie zaszkodzą? Na twoje koło woda.

Ramionami ruszył obojętnie Sieciech.

— Nie lękam się ich obu — rzekł — ale król nieposłuszny gniewa mnie.

Gdyby nie ja, w co by już się dotąd obróciło królestwo jego? Alboby je koronowany król czeski zagarnął, albo Pomorcy złupili, a stary tułałby się gdzieś na cesarskiej łasce. Mnie winien wszystko, a słuŝać nie chce.

— Arcybiskup winien wszystkiemu — dodał Smoła — miękkie serce ma.

— A twardy upór — rzekł wojewoda — pytał mnie wczora, oparłem się,

przeciylem, prosiłem, nie dał się złamać i na swoim postawił, ażeby mi pokazać, że Sieciech tu nic nie znaczy, a Sieciech im pokaże, iż czym był, tym — być nie przestał.

Pięścią uderzył w stół. Wszyscy stali milczący, Sieciech się rzucił na ławę.

— Odroczy się przez to, co się ma stać, ale nie minie — rzekł ponuro. —

Królestwo to nie ostoi się beze mnie.

— Co nam Zbigniew, klecha ten! — wtrącił mały, opasy Barwień, gładząc bródkę rudą. — Co Zbigniew? Do parobka niż do królewskiego dziecka

podobniejszy, a z oczów mu patrzy jak dzikiemu zbikowi.

Nic Sieciech nie odpowiadał, burzył się w sobie. Wtem młody chłopak ze dworu królowej przyszedł

mu coś szepcząc do ucha. Odprawił go ruchem ręki, nie mówiąc, gniewny jeszcze na wszystko, co go otaczało, lecz po krótkim namyśle wstał i wyszedł, zostawując swych przyjaciół bez opowiedzenia się im, dokąd i na jak długo. Ci pozostali, rozprawiając nad wypadkiem niespodzianym dnia dzisiejszego. Dworzanin królowej prowadził wojewodę bocznymi drzwiami do mieszkania Judyty.

Cesarska siostra właśnie poczęła była zdejmować z siebie klejnoty, w które się na uroczystość przystroiła, w sukni rozpiętej chodziła po komnacie, gdy Sieciech się zjawił w progu. Po twarzy jego poznała gniew, z którego nie ochłonał

jeszcze, ona też nie mniej była oburzona i rozdrażniona.

— Byćże to może, wojewodo — zawołała, stając naprzeciw wchodzącego —

ażebyscie Wy nie mieli siły zapobiec temu, dopuścić to królewskie szaleństwo? —

W głosie jej przebijała namiętność gwałtowna. — Dopuściliście dla mnie srom, dla wszystkich niebezpieczeństwo! Ten nikczemny bękart będzie mnie śmiał nazywać matką? — Ten parobek... ten niewolnik...

Słów brakło królowej, targała rękawy swej sukni.

— Nie mogliście go kazać umorzyć w więzieniu, mając go w swych rękach?

Czekaliście, aż na wolność go wypuszczą! Dobrze, pięknie, wybornie się stało!!

— Któż się mógł tego spodziewać? — odparł Sieciech.

— Nie wiedzieliścież — wołała Niemka, brwi marszcząc — że nieprzyjaciel, póki w nim tchu staje, zawsze niebezpieczny. Mogli mu oczy wyjąć ludzie, nikt by nie rzekł nic, pozór by się znalazł. Wy! Wy nie zdaliście się do rządu, Wy jak król słabi jesteście!!

Wojewoda patrzył na nią, cierpliwie wymówek słuchając, czynił je pono i sam sobie.

— Miłościwa Pani — odparł, gdy gniew jej głos zatamował — zasłużyłem

na te wyrzuty! Bez tego mam dosyć wrogów, dość na mnie rzucają czernideł i potwarzy, nie chciałem dać powodu do nowych zaskarżeń i zemsty.

Śmiech królowej zły i szyderski przerwał mu mowę.

— Dbacie o ludzkie języki! Niech szczekają, kiedy chcą! — zawołała. —

Było je tylko posmarować złotem, a przestali łąać i poczęli głosić chwałę twoją.

Teraz szydzić z Was będą, boście słabi, a król nawet Was nie słucha!

Ruszyła się żywo, rzucając na stół z brzękiem ciężki łańcuch złoty, który z szyi zerwała.

— Zaprawdę — dodała — wątpię już o Waszym rozumie. Dopuścić do tego!

To do Was niepodobne! I cóż myślicie dalej? Co?

Sieciech się zbliżył i szeptać począł.

— Stało się. Teraz ich dwu trzeba spuścić na siebie. Bolko i gorący jest, zewrą się; był jedynakiem, teraz i pierworodnym być przestał, młodszym jest, za nim iść musi. Skłóca się, zajedzą się królewicze.

Potrząsając głową królowa niedowierzająco patrzyła, usta się jej krzywiły dumą jakąś i wzgardą.

— Tak, a nim się zewrą z sobą, wprzód na Was, na mnie, na króla sobie ręce podadzą, pójda przeciwko nam. Was obalą...

Sieciech się uśmiechnął.

— Do tego nie dopuścimy — rzekł. — Wojsko wszystkie ja mam w ręku.

Grody obsadzone moimi, oni ani garstki nie mają własnej. Starszyzna moja skinienia mego słuchać będzie.

Judyta poruszyła ramionami.

— I Wyście już zesłabli — rzekła — puszczacie zwierza, aby polować na niego, gdyście w klatce mieli. To nierozum! Myślicie, że pójdzie na drugiego, nie na Was!

Zaczęła się przechadzać po izbie królowa. Sieciech stał i czekał, aż się uspokoi.

— Źle się stało — rzekł — lecz starego biskupa nikt zawczasu nie zbadał, wystąpił nagle, nie pora było hamować. Jeden taki nieokrzesany klecha, choć go odzieją za książęcia, nic nam nie uczyni. Nie lękam się go, a pozbyć potrafię. W

kruszwickiej bitwie ludzie go widzieli, rycerzem nie jest. Klerykiem lat osiem był i na całe życie nim zostanie, męstwa nie ma, rozumu niewiele, cała siła w języku.

Puści się na swawolę teraz, gdy swobodę poczuje, i zginie.

— Wszystko Wam teraz dobre! — szydersko dodała Judyta.

Drzwi uchylono, pacholę króla domagało się Sieciecha, król po modlitwach żądał koniecznie wojewody, nie mógł usnąć, nie widząc się z nim, zbieżano cały zamek szukając; sługa pański dopominał się gwałtownie, by Sieciech szedł z nim do króla.

— Nie pójdę dziś do króla! — zawołał rozkazująco wojewoda. —

Powiedzcie, iż mnie nie ma na zamku, żem odjechał. Mówcie, co chcecie, nie pójdę. Niech się frasuje król i niepokoi — dodał — oparł się radzie mojej, niechże swych lepszych niż ja doradców się trzyma.

Królowa, której oczy zaświeciły, potakiwała mu, bijąc w rękę.

— Niech pokutuje stary — zawołał — niech się gryzie! — I pacholęciu na drzwi wskazała.

Nastąpiła cicha narada poufna, tak zgodna, jak był gniew, co ją poprzedził, gwałtowny. Na twarzy królowej zjawiał się wkrótce uśmiech, czoło się wyjaśniło, słuchając opowiadania Sieciecha. Podała mu rękę na przejednanie, odprowadziła do drzwi i w progu jeszcze żegnała szeptami długimi.

Wojewoda uwolnił się wreszcie, parę razy przywoływany od drzwi,

odprawiany i powracający. Judyta, zasłonę drzwi podtrzymując nad sobą, patrzyła za odchodzącym, aż zniknął jej z oczów. Sieciech potrzebował być sam z sobą, aby myśli zebrać i ukoić ducha.

Noc majowa cicha była i spokojna, zamek się cały do snu układał,

gdzieniegdzie tylko z izb oświetlonych gwary spóźnione słyszę się dawały. Na wałach i u bram strażę chodziły ospale.

W drugim końcu podwórca, gdzie stało wojsko królewskie i czeladzie, gęśle brzęczały i półgłośnie śpiewy. Na mieście z dala psy poszczekiwały i pierwsze kury piałły ranną pobudkę.

Wojewoda, mijając okna, w których świeciło, podniósł głowę. Zdało mu się, że widzi w nich cienie Bolka i Zbigniewa, z rękami zarzuconymi na ramiona, jak by naradzali się z sobą, przechadzających się po izbie.

Stał i patrzył długo. Czuł w nich wrogów swych przyszłych, a potrzebował

uczynić nieprzyjaciół, nie druhów, jakimi się być zdawali. Władza, którą dzierżał

do tej pory, pocieszała go i ośmielała, nie mógł jej postradać w jednej godzinie.

— Wamli to ma się zamarzyć porywać się na mnie, mówił w duchu. —

Wam! Niedołężnemu temu królowi bez korony, dwu młokosom i kilku starym klechom? Gdybym skinął tylko, jutro obalę wszystko!

Myśl wzbiła się wysoko i gniew ustawać poczynał.

— Nie jestemże ja tu panem, a oni na mojej łasce czasu?

Chodził tak długo, podpatrując, co się na zamku działo, zbierając myśli, osnuwając na przyszłość plany. Gdy powrócił do izb swych zmęczony, już w nich nikogo, oprócz służby rozespanej, nie było. Rzucił się na posłanie pewien, że jutro nagrodzi sowicie za doznane upokorzenie.

IV

Nie było w słowiańskich krajach ziemi, co by uporniej stała przy dawnym swoim, pogańskim obyczajowi nad Pomorze i plemiona, co je zaludniały. Jedno z nich, noszące imię Wilków, nie nadaremnie je wzięło, jak wilcy bowiem czatowali na pastwę, jak oni drapieżni byli i łupu chciwi, okrutni, przebiegli, niepokonani, choć często klęski ponosili. Po każdej bitwie przegranej, chciwi zemsty, gotowali się do odwetu. Pomiędzy resztami pogan, pozostałych nad granicami, mieli potajemnych sprzymierzeńców, nietajno im było, co się u Polan działo, gdzie się obracały wojska, kiedy na nieopatrznych wpaść było można znieśc; korzystali często ze święcenia kościołów, z uroczystości, z najmniejszego odpoczynku i pieczenia, aby się rzucić na rozbrojonych. Gotowi też byli ze wszystkimi się wiązać, służyć każdemu, kto ich wyzywał do pomocy, podać rękę

chrześcijaninowi, nawet każde zawichrzenie wyzyskać, ale niezależności swej nie poświęcali nikomu. Jednego dnia Niemcom, drugiego Polanom biegli w pomoc dla łupieży.

W bogatych miastach ich nadmorskich handel skupiał wielkie zasoby, wojna przynosiła łupy, zamożność dawała zuchwalstwo; naród był bitny, ochoczy do wojny i grabieży, zbrojny dobrze, a im dłużej niepodległości swej zdołał obronić, tym pewniej spodziewał się ją utrzymać.

Na próżno starano się go nawrócić, jedni po drugich szli doń apostołowie, niosąc wiarę chrześcijańską, a kończyli wszyscy posłannictwo swe męczeństwem, urąganiem i wygnaniem. Ubodzy księża, opowiadający Boga ubogich, nie znajdowali posłuchu u Pomorców, rabusiów, handlarzy, którzy bogactwa nad wszystko cenili. Pokłonić się tylko mogli blaskiem okrytej potędze. Wiara też pogańska, ostatni tu znalazłszy przytułek, rozkwitała siłą ostatkiem; stały świątynie stare na nowo przybrane, rozlegały się w nich pieśni odwieczne, wędrowali pielgrzymi z ziem nawróconych, po kryjomu przynosząc ofiary, a niosąc stąd nowego ducha. To gniazdo bałwochwalstwa i rozbojów zniszczyć potrzeba było i nieustannego wroga pohamować.

Władysław Herman walczył ciągle z tymi niewygodnymi sąsiadami, nie

dającymi spokoju, Sieciech chadzał na nich zwycięsko, wyprawiano oddziały rycerskie, które wpadały w głąb ich puszczy, plądrowały osady i miasta, ale podbić nie mogły. Poddawali się pozornie, gdy ich złamano, zdradzali wprędce, trzymali po grodach i miastach, najmniejszą zręczność wyzyskać umiejac na korzyść swoją.

Od ujścia Wisły do Odry i aż do Łaby zalegała wybrzeża ta dzicz pogańska, niepokojąc ciągle ziemie sąsiednie. Dość było wieści, że król i starszyzna gromadzą się do Gniezna na wielkie świętki, aby już Pomorcy na zameczek graniczny, przez Polaków osadzony, Santok, godzili. Rzucili się nań i tylko cudem, a popłochem nocnym wyrugowani zeń zostali?! Napaść tę zuchwałą pomścić zaraz było potrzeba. Nie mogło ująć bezkarnie.

Jeszcze w Gnieźnie, gdy Sieciech dał się wreszcie przebłagać królowi i znowu opiekę swą nad nim rozciągać zaczął, uradzono wyprawę na Pomorzan.

Bolesław, jak tylko zasłyszał o tym, gorąco się do niej gotować zaczął.

Zbigniew byłby się może złożył tym, iż dworu ani czeladzi nie zebrał

jeszcze, nie był gotowym, ale obok Bolka, tak pochopnego do boju, wstyd mu było gnuśnym się okazać. Nowy królewicz, którego na równi z młodszym postawiono, łatwo mógł zgromadzić około siebie znaczną liczbę drużyny. Garnęli się ludzie do nowego pana. Nazajutrz, zaraz po owym wieczorze, gdy z więzienia wyszedł na dworzec, zjawił się do niego stary sługa, Marko Sobiejucha.

— Miłościwy Królewiczu — odezwał się, śmiejąc i pomrugując, a ręką

sunąc ku kolanom — Miłościwy Królewiczu, bodejbyś żył sto lat! Nie ma się z tym co taić, mogę to wyznać, że jeżeli komu, to słudze swemu winniście swobodę!

Tu w piersi mocno się pięścią grzmotnęła.

— Tak jest, tak jest, niech się Miłość Wasza ani śmieje, ani dziwi temu —

dodał Marko. — Ja to chodziłem tak około najprzewielebniejszego arcybiskupa, a kładłem mu to przez różne osoby do uszów, aż nareszcie wziął do serca. Niech to zostanie tajemnicą, chwalić się nie chcę, lecz w istocie winniście swobodę słudze swemu.

Zdumiał się Zbigniew i zadasał, ale bezwstydnym człękem klął się i przysięgał, że mówił prawdę, a dochodzić kłamstwa było trudno. Mówili drudzy, że jako żyw nigdy do ojca Marcina się nie zbliżał i słowa doń przemówić nie mógł.

— Teraz spodziewam się — dokończył Sobiejucha — że gdy Wasza Miłość

odzyskaliście wszystko, o człowieku, który za Was życie dawał, nie zapomnicie.

Com wylał krwi pod Kruszwicą, a tu życie ważyłem! Gdyby nie cud, a łaska patrona mojego, już by mnie dawno krucy zadzióbal.

Czyby się czuł do wdzięczności Zbigniew, rzecz wątpliwa, ale gnuśnemu nieco i przebiegłemu panu, który się rad wyręczał drugimi, dogadzał Marko i służyć mu umiał. Nikt lepiej nad niego nie dostał wszelkiego języka, nie podsłuchał

zręczniejsz, nie wcisnął się śmielej w kąt każdy i z bogatszym łupem nie przychodził

wieczorem, umiejac go kłamstwem przyprawić. Nikt też lepiej i bezwstydniej pochlebiać nie potrafił.

W pierwszych dniach zaraz, gdy się poczęły rycerskie zapasy, gonitwy, bójki, w których Bolko celował, a na które Zbigniew tylko z dala patrzeć musiał, bo do nich zręczności nie miał żadnej, zrodziła się sroga zazdrość w eks-kleryku.

Brał przed nim wszędzie Bolko prym, ubiegał go, a choć o lat kilka młodszy, szedł

przodem, u ludzi mir jednał; chwalono go, wynoszono, kochano.

Zbigniew się nastawiał, szydzić próbował, iść z nim o lepszą nie zdołał.

Dumny był, obraźliwy, mowę często złośliwą miał i nieopatrzoną, ludzie od niego stronili. Na koniu, z łukiem, z oszczepem, z mieczem próżno próbował coś poczynić, na wstyd i śmiech tylko się narażał. Siły miał dosyć, użyć jej nie umiał

ani ochotę okazał. Niecierpliwił się wnet i rzucał o ziemię, co trzymał, klnąc a łając.

Gdy jechali razem, Bolko wyglądał królewsko, tamten na przystrojonego parobka, choć się obwieszał łańcuchami i świecidłami wszelkimi, w których się kochał bardzo. Dwór też jego, co miał świetnie wyglądać, wydawał się cudacko.

Niepowodzenie to jątrzyło Zbigniewa; powoli począł się coraz głośniejsze dopominać o swe pierworodztwo i gdzie tylko mógł, zasiadać pierwsze miejsce. Dwór jego nie ustępował kroku Bolkowej drużynie, stąd się rodziły waśnie i spory nieustanne.

Bolko mniej dbał o miejsce i śmiał się. Dwunastu towarzyszy jego, patrząc na współzawodnika swojego pana, niezgrabnego, nieszykownego, przezywali go klechą, śmieli się. Po cichu z niezręczności jego, z dumy, a czasem drwiny przez usłużnych usta dochodziły do chętnie nastawiającego na wszystko ucha Zbigniewa.

Między tymi dwoma obozami młodych synów królewskich naprzód się objawiło współzawodnictwo, zrodziła zawiść i nienawiść. Dwór Zbigniewa, naprędce zbierany, złożył się z niezbyt dorodnej młodzieży, ściąganej ze wszystkich kątów, która odzieżą tylko jaskrawą się odznaczała. Marko Sobiejucha zajął tu miejsce przedniejsze, niby ochmistrza czy dowódcy. Gdyby największe było nawet usposobienie do zgody człowiek ten byłby ją potrafił zakłócić, tak umiejętnie brał

się do tego. Podzegał ciągle. Wieczorem zawsze przynosił panu do łoża, co się we dnie przyzbierało: jak to dworzanie Bolkowi wyśmiewali niezgrabność pana, jak go przezywał klechą, jak wyzywano go naumyślnie do rzucania oszczepem, aby upokorzyć, jak ten i ów to i owo powiedział, a Bolko się wszystkim cieszył itp.

Zbigniew widząc, że królewiczowi rycerzem trzeba było być koniecznie, odziewał się po rycersku, miecz sobie ogromny przywieszał, na konia siadał, toczyć nim próbował, ale ani ze szkapą, ni z mieczem, ni z oszczepem, ani z łukiem rady sobie dać nie umiał. Rankami po kryjomu uczył się swych rycerskich sztuk od Sobiejuchy; ten gadał o nich dużo, wiedział wszystko, chwalił się bezmiernie, a na razie mu się zawsze coś psuło. Łuk nie dopasował, strzały były niedobre, oszczep nie przychodził do ręki itp. Zbigniewowi się również nie wiodło, konie go tłukły, zbroja mułała, miecz mu zawadzał, a choć siłę w rękę miał wielką, gdy oszczep cisnął, pewnie poszedł nie tam, gdzie chciał, a gdzie się go nikt nie spodziewał.

Kaleczył konie i ludzi.

Sieciech w kilka dni popatrzawszy na to, co się działo, zrozumiał wszystko i gdy znów królem kierować począł, narzucając mu wolę swoją jeszcze silniej, natychmiast doradził Władysławowi, aby braci obu razem na Pomorców wyprawiał.

Na pozór słusznym to było. Król dla przejednania posłuszeństwem faworyta i na gorsze by się był zgodził, tym bardziej na myśl tak zbawienną, która braci pobratać miała. Naprzód Bolkowi o tym oznajmił, Bolko pobiegł z nią do Zbigniewa.

Dwa silne pułki konne pancerników stały w pogotowiu, najdoborniejszy lud, najdoświadczeńszy żołnierz, najupodobańsi Bolkowi rycerze, którzy już z nim niejedną raz robili wycieczki. Jeden oddział, jeszcze stojący pod Santokiem, zabrać z sobą mieli i stamtąd wyruszyć. Bolko pragnął dotrzeć bodajby do morza, do któregoś z bogatych grodów, do ubiegnięcia łatwych, bo ludność ich dla handlu częściej na morzu w łódkach niż na wałach siedziała. Miasta były warowne, bogate, lecz letnią porą nieludne.

Pierwszy ze swą drużyną gotów był Bolko i ruszył zaraz do Santoka.

Zbigniewowi zabrakło ludzi do orszaku, jaki z sobą chciał prowadzić, ale brat nań dwa dni czekać przyrzekał, dając czas do zebrania koni i czeladzi. Marko po swojemu się ruszał, krzyczał, biegał, kłął, a zawsze mu się nie wiodło nie z jego winy, przez ludzi. Ostatniego dnia Zbigniew opóźniony puścił się brata doganiać.

Marko nie odstępował go na chwilę. On i posłuszny, a głupawy Zahoń

jechali przy królewiczu. Zahoń wiozł mu hełm, gdy zaciężył, to miecz, gdy się plątał i po koniu tłukł, to tarcz małą malowaną, z którą Zbigniew nie wiedział co robić. Nie nawykłemu do żelaza ciężły i tak blachy, które na sobie mieć musiał, wadziła ostroga u nogi, rozpiwały się na nim sprzączki, napierśnik dusił, pas nacierał, a i konia było mu dobrać trudno.

Szczęście owo wielkie, które spotkało Zbigniewa, na chwilę prawie nie odmalowało się w jego twarzy. Posępny był, gniewny, szyderski, mrużący na wszystko, nikt mu dogodzić nie umiał. Jeden Marko ze swym językiem najlepiej mu do smaku przypadał. Nie żałował też dla pana przyprawy smakowitej i bluzgał

na wszystkich. Dworu tajemnic od niego się dowiadywał królewicz, w jakich łaskach był u królowej Judyty Sieciech, który niekiedy do późnej nocy sam na sam z nią przesiadywał, jak znowu król słabym był i posłusznym dla wojewody, który czynił z nim, co chciał; jak się wychowywały królowy, co poczynają niewiasty, otaczające królowę, którymi się ona posługiwać umiała, kto z wojewodów z wojewodą trzymał i był mu zaprzędany, a kto z nim zadzierał.

— Miłościwy Królewiczu — odezwał się w drodze Marko Sobiejucha do

pana, gdy nieco za sobą orszak swój zostawił ciągnąc lasem piaszczystym. —

Miłościwy Panie, gdy da Bóg staniemy w tym Santoku, a przyjdzie ciągnąć dalej, Miłość Wasza postanowi co do dowództwa?

Zbigniew wprawdzie sam czuł, że na dowódcę się nie zdał, ale słuchać też nikogo nie był rad. Pomyślał nieco.

— Juściż mnie jako starszemu — odezwał się — należy się dowództwo, nie komu. Inaczej nie

powinno być. A cóż mam począć? Co?

— Co? Jak? — wyrwał się Marko. — Jeżeli Miłość Wasza wprawy nie ma,

toć mnie na swym miejscu może uczynić namiestnikiem. A ja, ja już sobie radę dam... Nie na takie się rzeczy patrzyło! Nosa mam, ludzi w garść potrafię wziąć.

Starszemu królewiczowi dowództwo przynależy. Jak się miłość wasza raz dasz wziąć pod rozkazy, wszystko przepadło. Starszeństwo najpierwsze prawo na świecie.

— Toteż spodziewam się, że ten gołowąs zaprzeczyć mi go nie może —
odezwał się Zbigniew.

— A jakby się oparł? — spytał Sobiejucha.

— Nie poddam mu się — rzekł Zbigniew.

— Nie potrzeba, nie można, nie godzi się poddawać — wołał Marko. —

Przy waszej miłości musi być dowództwo. Bolka trzeba nauczyć posłuszeństwa.

Kiedy jużci wy, nie kto, weźmiecie całe królestwo, będzie musiał się poddać i słuchać a siedzieć na swym udziale cicho i powołany iść pod chorągiew.

Myśl wyłącznego panowania jeszcze była Zbigniewowi nie przyszła,
pochlebiała mu.

— Król stary, niedołęga, do niczego, Sieciech jawny zdrajca — kończył

Marko — trzeba zawczasu myśleć o sobie, bo inaczej Bolko i jego ulubieńcy was uprzedzą.

— Nie dopuszczę! — mruknął Zbigniew.

— Zręczny jest i mężny, ja mu tego nie przeczę — mówił Marko — na

żołnierza dobry, na wodza się nie zdał. Zapalczywy, prędko i łatwowierny. E, e!

Wasza miłość będziesz nam panować! Inaczej nie może być!

Przez całą drogę Sobiejucha tak przygotowywał swego pana.

Nad ranem stanęli w Santoku, gdzie już do wyruszenia wszystko było

pogotowiu i ciągnąć trzeba było spiesznie, aby Pomorcy nie dowiedzieli się zawczasu o wyprawie. Zamczysko owe, które kluczem Polski od Pomorza zwana, nad samą rzeką położone, a raczej dwoma obwarowane, mocne było tylko

moczarami i błotami, które je dokoła otaczały. Wały i zaborole miało dosyć krzepkie, lecz rozległą zajmując przestrzeń, gdyby nie woda, trudne by było do obrony.

Roiło się tu teraz rycerstwem, a żołnierza takiego nie widział Zbigniew jako żyw, bo i pod Kruszwicą równego mu nie było. Pancernicy, chłop w chłopa, na koniach krzepkich, zręczni, wojacy już doświadczeni, śmieli się tak do wojny, jak by do najmilszej zabawy. Bolko, wcześniej tu przybywszy, już ich był opatrzył

wszystkich, rozporządził, ustawił, podzielił, którzy przodem iść mieli, jacy na tyłach. Większa część tych ludzi znała go i kochała, bo był jak bardzo młody, tak nad wiek swój dzielny i roztropny.

W dolnej izbie na zamku, niepoczesnej, wcale, bo tam oprócz załogi i

starosty nikt nigdy nie przemieszkiwał. Bolko spał, jadł i przyjmował starszyznę.

Po ławach i stołach tyle było hełmów, rękawic i łuków, co misek próżnych; w kątach stały oszczepy i pociski snopami. Odzież leżała po kątach, ruch wchodzących i wychodzących drzwi nie dawał zamykać. Bolko na ławie siedząc jak na koniu przyjął przybywającego Zbigniewa, który z dala się rogami otrąbił i wciągnął z wielką uroczystością na zamek, miecz jak zwykle każąc nieść przed sobą. Że nikt go w podwórku nie przyjmował, a ludzie się po trosze śmieli, wszedł

do izby nadęty, z przybraną powagą wielką.

— No, bywaj, bywaj! A toć czas ruszać! Wilki te niepocziwe, jak skoro się o nas dowiedzą, pierzchną w gąszcze i nie złapiemy ich. Im dłużej tu stoimy, tym gorzej dla nas. Na koń! Na koń!

Gdy Bolko tak wywoływał, a ludzie, głos jego posłyszawszy, ruszać się poczynali, Zbigniew stał przed nim nadąsany.

— Ja spocząć muszę — rzekł — ano, potem zobaczymy.

— Jak to zobaczymy? — odparł Bolko. — A cóż tu ma patrzeć, gdy

wszystko opatrzone?

Zbigniew spojrział bystro spod brwi zmarszczonych.

— Juściż ja opatrzyć muszę, bo przy mnie dowództwo rzekł.

— Dowództwo przy tobie? — wykrzyknął Bolko ze śmiechem. — Nauczże

się wprzód na koniu siedzieć, oszczepem władnąć! Tyś jeszcze nie wojak; pierwsze pole twoje, a już ci się dowództwa zachciewa? Chyba, żeby nas w puch rozbito! Nie znasz ani Pomorców, ani ich kraju!

— Ja starszy, pod niczyje rozkazy iść nie myślę — zawołał dumnie

Zbigniew.

— No, to siedź w Santoku i zostań tu! — rzekł Bolko. Ja też pod twoje dowództwo nie pójdę. Tyś nie żołnierz...

— Alem syn królewski jako i ty — i starszy — krzyknął Zbigniew.

Bolko się zmarszczył trochę.

— Ja ci nie zaprzeczam synostwa ani starszeństwa, aleś ty na wojnie klerykiem — zawołał Bolko.

Wyraz ten dotknął mocno Zbigniewa, krew mu uderzyła do głowy, padł na ławę i podparł się na stole.

— Czyń, co chcesz; jakom rzekł, inaczej nie będzie — zakończył.

— No, to nie będzie nic! — krzyknął porywczo Bolko. — Ludzi szkoda,

ciebie żal. Łeb ci utną. Wprzódę się trzeba wojny nauczyć, nim się wodzić zechce... Na zgubę ludzi prowadzić nie dam.

— Jeżeli sam wojny nie znam, znajdę takiego, co za mnie znać będzie i powiedzie, ale z mej ręki — odezwał się starszy.

Bolko się z ławy zerwał.

— Naprawdę to rzekł? — spytał.

— Nie na żart — zamruczał Zbigniew, którego twarz zań odpowiadała.

— No, to ja ci też powiem naprawdę, że pod tobą ani wodzem z twojej ręki ja nie idę. Wezmę sobie połowę ludzi, bierz ty drugą i próbujmy szczęścia.

Zbigniew milczał.

Marko Sobiejucha, stojący w progu, dał znak głową, aby tego nie przyjmował...

— Ja z połową nie pociągnę, bo siła mała — odezwał się starszy.

— No, to zostań w Santoku — począł śmiejąc się Bolko — dla mnie połowy dosyć, cały powrócę i łup jeszcze przywiozę. Chciał wychodzić w podwórce, bo go już piekło i pilno mu było, gdy Zbigniew go zatrzymał.

— Ja cię stąd nie puszcę — nie pozwolę — jam tu dowódcą, nie ty!

Bolkowi krew zawrzała.

— Hej! — zakrzyknął — ze mną dobrym słowem wiele można dokazać, ale

rozkazywać mi i siłą brać — nie twoja rzecz! Wierz mi, nie próbuj się ze mną, nie zadzieraj z bratem! Gdyśmy cię z więzów uwolnili, pokornym byłeś, takim zostań, lepiej ci z tym będzie. Równym cię chcę znać, wyższym nie!

Młodemu chłopcu z oczów ogień się sypał, drżał mówiąc, postawę miał męską i rycerską, która postrach wrazała. Zbigniew pobladł i zatrząsł się.

— Com rzekł, to strzymam — odezwał się zniżonym głosem.

— A ja com powiedział, od tego nie odstąpię — odparł Bolko śmiało.

— Ni ja.

— Ani ja!

Stali naprzeciw siebie, oczyma się mierząc wyzywającymi, Bolko uśmiechał się pogardliwie, odwrócił tyłem do Zbigniewa i powoli ku drzwiom mierzył.

Wyszedł w podwórzec, sypnęła się za nim drużyna otaczając go, gniewna, rozsierdzona, z rękami na mieczkach. Gdyby był słowo rzekł, skinął, rzuciliby się i siekli.

Wtem Bolko dwu przedniejszych tysiączników kazał pozwać do siebie.

Stawił się pierwszy, nakuliwając trochę, Groza, stary żołnierz, który nogę miał dawniej oszczepem przebitą, ale na koniu tego czuć nie było.

— Moje dwa pułki niech się sposobią do pochodu — zawołał królewicz —

brat mój pono na swą rękę chce szczęścia próbować swoim dworem; połowa ludzi niech do niego odejdzie, my zapolujemy sami.

Groza brodę pogładził.

— Już ludziskom się tuży i dłuży — mruknął — czas by iść.

— Pójdziemy zaraz — rzekł Bolko. Wtem Zbigniew się oknem wychylił z izby.

— Ani mi się ważcie ruszyć nogą — krzyknął — ja tu dowodzę, nie kto

inny, ja!

Groza spojrział nań, a potem ku Bolkowi obrócił. Ten zamilkł nieco.

— Jakże się Wam zda? — spytał Grozy.

Tysiącznik sam nie wiedział, co poczynać. Marko już wprzódę się z nimi rozmówił, ludzie wahali się, kogo słuchać, za kim iść.

— Miłościwy Panie — odezwał się Groza, kłaniając królewiczowi —
uczynicie ład między sobą sami, to nie nasza sprawa.

— Mnie znacie — odezwał się Bolko do swoich, wskazując potem na
wyglądającego oknem Zbigniewa. — A tego znacie Wy? Byłli kiedy z Wami? Bił
się? Wiecie, czy go kto nad wojskiem postanowił?

Starszyzna, stojąc z odkrytymi głowy, patrzyła po sobie, spozierała na Zbigniewa, ramionami
dźwigała, nikt się odzywać nie śmiał.

— My tylko Was, Miłościwy Panie, znamy — rzekł Groza po namyśle.

Inni za nim śmielej powtarzać zaczęli toż samo.

— Dwa pułki do mnie, wyjdziemy natychmiast! — powtórzył Bolko.

Wtem zza Grozy wysunął się stary Wyga, który graniczne lasy najlepiej znał, a na zwiady go zawsze
posyłano. Chodził on wczoraj w okolice i dopiero co powrócił. Chłop był odziany umyślnie, że go za
Pomorca rychlej było można wziąć niż za chrześcijańskiego człowieka; zarosły, spoglądający dziko.
Umiał się on nawet do miast i na zamki dostawać w Pomorzu, w Kołobrzegu bywał nieraz na targach,
w Szczecinie i Julinie, wędrował czasem aż do ujścia Łaby, znał wszystkie gościńce i ścieżki w
tamym kraju, a wierny był swym panom tak, że słowo jego nie zawiodło nigdy. Wyga stał na palce
nasiekiwanej oparty, skłonił się Bolkowi i poczesał po głowie ogromnymi okrytej włosami.

— Wróciłeś przecie, Wyga! — zawołał Bolko.

— Dziś dopiero — odezwał się głosem grubym posłaniec.

— Cóż słychać?

— Siła Pomorców się zebrało, bo się gdzieś napaść gotują — począł Wyga

— nie można przeciw nim z małą garścią iść. Przemko dowodzi, ludzie najlepsi, czatują, jak by się
czego spodziewali. We dwa oddziały na nich mało!

— We dwa? Moje? — pochwylił Bolko.

— Mało — odezwał się Wyga — kto ich wie? Może języka już dostali, obstąpią i przemogą, z dwoma iść bez odsieczy chyba na pewną zgubę.

I głową potrząsał stary. Królewicz się rzucił.

— Nie liczba stanowi — wtrącił — ano ręce i serca.

— Ale siła złego dziesięć na jednego — odezwał się Wyga — co nadto, to nie można. Chyba życie niemiłe. Całą siłą na nich uderzyć, przepołowioną nie, nie!

Stary wciąż to powtarzał: Nie! nie!

Bolko rozgorączkowany nogami bił o ziemię i miotał się.

— Prawisz nam strachy! — krzyknął.

— Miłościwy Królewiczu — zagadał Wyga z pokłonem poufałym starego

sługi, który zna serce swego pana — nie gorączujcie się! Jam nie winien, a prawdę mówię. Darmo się silić i ludzi tracić. Ja się Wam na drodze położę, a nie puszczę.

Przemko zwąchał, że się coś zbiera w Santoku. Czeka. Z małym czym porywać się, to iść na zgubę.

Z gniewem prawie odwrócił się Bolko od niego, Zbigniew, który z okna

wywieszony patrzył, rad był, że się tak składało.

Żołnierze byliby Bolka posłuchali wszyscy, gdyby na nich; skinął tylko, starszyzna, na rozum biorąc, wahała się i naradzała. Oba młodzi królewiczami byli, nie wiedzieć było, kogo słuchać, starszego się lękali obrazić, aby się nie mścił; młodszego kochając, nie radzi byli opuścić. Patrzali na siebie, mruzczyli, łokciami się popychali, odzywać się nie śmiał żaden. Marko do roboty językiem najwprawniejszy chodził pomiędzy nimi, po słówku sypał i podburzał.

Bolko się znalazł w położeniu, w jakim nie bywał jeszcze, z gniewu oszczep, który był w rękę wziął, roztrzaskał i dwie jego połowy daleko rzucił precz od siebie. Odszedł nazad do izby i na ławie przysiadł chwilę. Drużyna jego, która się więcej niż on sam burzyła, do progu się cisnęła, czekając rozkazów. Oczów ze swego pana nie zdejmowali, czekając tylko, a nuż się odezwie, aby porządek po swemu uczynili. Zbigniew sam nie ostałby się był cały przed nimi. Lecz Bolko, zadumawszy się, nie dał żadnego znaku. Wykarmiony na rycerskich pojęciach szlachetności, na powieściach o wielkich czynach męstwa i poświęcenia, oburzał

się niewdzięcznością Zbigniewa. Rachował, ratując go, na uczucia braterskie, na serce jego, a znajdował dumnym, zawistnym i niechętnym, godzącym już na krzywdę tego, któremu miłość był winien. Serce jego wzbierało zgrozą na widok człowieka, który w samym początku już godził nań i

spychał z drogi. Bolesniej dotknąć go nie mógł Zbigniew, jak odbierając mu z rękojmię zapolewania na tę dziczą, nad którą zwycięstwo zdawało mu się pewnym. Przebojem iść, z małą garścią ludzi, gdy Wyga i inni odradzali, nie chciał Bolko. Wstał z ławy, skinąwszy na swoich.

Zbigniew, sparty jeszcze w oknie, patrzył na z wolna szykujące się oddziały.

— Ostatnie słowo — zawołał Bolko, wyszedłszy w podwórcę — nie ustąpicie mi dowództwa?

— Nie — rzekł Zbigniew gniewnie — nie, stokroć nie!

— Pruszyńska! — odezwał się, odwracając, Bolko — konie moje dawać.

Drużyna do mnie! Wracamy do Płocka. Chcecie iść, z Bogiem, zostawiam Was, wszystkich ludzi i dowództwo. Szczęścia życzę! Ruszajcie!

Skinął na swoich, którzy żywo pobiegli chwycić rozrzucony oręż, wdziwać hełmy, narzucać łuki na plecy i wynosić się z izby. Niektórzy śmieli się szydersko, wszyscy radzi byli, że się pan ich pod rozkazy brata nie oddał.

— Groza! — odezwał się Bolko do starego tysięcy — zostawuję Wam

dowódcę, idźcie z nim. Ja nie nawykłem iść pod cudze rozkazy, wracam do ojca!

Podprowadzono mu już konia, który się rwał niecierpliwie. Kropierz z niego kazał zdjąć Bolko, sam część zbroi odpiął i rzucił, rozkazawszy wieść za sobą czeladzi, lekki oręż zostawił tylko przy sobie i skoczył na konia. Dwunastu jego towarzyszków, dwór i czeladź, śmiejąc się wesoło, opuścili zamczysko, wprost jadąc w lasy, aby po drodze się łowami zabawiać.

Zbigniew z Markiem i starszyzną został na zamku sam. Sprawa szła nie po myśli, choć na pozór zwyciężył. Marko, który poduszczał do sporu, gdy przyszło ruszać samemu na dzikich Pomorców, stał się dziwnie ostrożnym i ociągającym.

Starszyzna, zniechęcona odjazdem królewicza, szemrała, że jej klechę za dowódcę dano, który wojny nie rozumiał. Tym nazwiskiem już go niemal wszyscy nauczyli się mianować. Ci, co zwykli byli chadzać z Bolkiem tylko, wprost odmawiali posłuszeństwa i warczeli. Z pozostałą resztą iść nie było można. Zbigniew miał

przed sobą, że i ojca gniew ściągnie na siebie, i starszyzną wojskową zrazi.

Zawołał do kąta Marka na radę.

— Co poczynać? — spytał. — Iść? Nie?

Ów rycerz, tak śmiały niedawno, znacznie był ostygł, marszczył się i rozmyślał.

— Miłościwy Panie, gdybyśmy ludzi pod dostatkiem mieli, czemu nie?

Poszlibyśmy i pobili. Nie takie my rzeczy na Węgrzech i z cesarzem dokazywali!

Padlibyśmy na nich i stratowali pogan. Ano, z kim tu iść? Ludzie jacyś niechętni, podejrzani, nuż zdradzą? Ja o moje gardło nie stoję, ale, o Waszą Miłość, przyszłego króla naszego. Nuż nieszczęścia jakie? Nuż zasadzka? Pomorcy są rozbójniki chytre i przebiegłe. Sam ten Wyga wyznaje, że bodaj czekają, gotowi zasadzkę uczynić w lesie! Ja tych lasów nie znam, ludzi nie znam, gorzej, bo im z oczów patrzy zdradą!

Rozstawił ręce szeroko i zamilkł. Pomimo ochoty ogromnej zdawał się

zrezygnowany na powstrzymanie się od wyprawy. Zbigniewowi odpadła też chęć do walki. Powołano starego Grozę, który przyszedł, oszczepem się podpierając.

— Mówcie, stary, co radzicie? Iść, nie iść?

— Miłościwy Panie — odezwał się tysiącznik — gdyby królewicz Bolko z

nami był, rzekłbym iść. Jak go nie stało, powiem, iść mała rzecz, myśleć trzeba, jak powracać.

Obraził się królewicz i strząsnął.

— Że nam jednego młokosa nie stało, dlatego się już ważyć nie możemy? —

zawołał Zbigniew.

— Prawda, że on jeden i młody — rzekł Groza — ale za dwudziestu stanie; ludzie za nim idą inaczej, ciągnie ich za sobą. Bez niego jak bez ręki.

Zbigniew wargi zakąsił. Drudzy ze starszyny także niezbyt wielką ufność w swą siłę okazywali. Jeden z nich, popatrzwszy na niebo, zapowiadał srogą burzę, drugi nastawał, że Pomorcy pewnie wiedzą o wyprawie, inni mówić nie chcieli.

Rozprzęgało się wszystko.

Zbigniew usiadł zniechęcony na ławie, przesiedział do wieczora, dotrwał na zamku do rana i namyśliwszy się, że winę całą zrzuci na Bolka, pułkom z sobą kazał nazad do Płocka powracać. Wyprawa spełzła na niczym.

V

Na płockim zamku wieczorem dnia jednego letniego cicho było jak zwykle; śpiewy tylko niewieście rozlegały się około komnat królowej, gdzie Judyta, trzy jej córki, liczny dwór żeński i męski, prawie zawsze zabawiał się dosyć wesoło.

Dwa otoczenia, króla Władysława i królowej, dzieliły się od siebie

najczęściej jak dwa obozy nieprzyjacielskie. U królowej liczba cudzoziemców, Niemców i Niemek szczególnie przeważała, młodzieży węgierskiej, Sasów i Frankonów kręciło się dużo, a była to drużyna pusta i próżniacza, dla której gędzba, śpiewy, pąsy i umizgi całe stanowiły życie. Po królewsku, wspaniale, dostatnio, świetnie odbywały się zabawy wieczorne, ciągnące często do późnej nocy; gdy na smutnym królewskim dworze panowała cisza, a Władysław modlił

się, trwożył i chorzał. Całe dni schodziły mu na myślach tęsknych, w których przewidywał przyszłe zawikłania i klęski. Wróżył zawsze co najgorsze.

Dopóki Zbigniew był zamknięty, płakał nad tym dziecięciem swym

pokrzywdzonym; gdy go uwolnił, lękać się począł, ażeby z Bolkiem nie waśnili się i nie spierali, lękał się, aby nie zniechęcili Sieciecha, lękał, aby wojewoda zrażony nie odstąpił od niego. Obawiał się dzieci własnych, bał wojny, niezgody, niepokoju; ze wszystkimi rad by był żyć w zgodzie, nikogo nie zniechęcać, okupić ciszę dla dni starości swej. Widma chorobliwej wyobraźni, przeczucia straszne go prześladowały. Nocami sny miewał przerażające, po całych dniach gryzł się podejrzeniami i przywidzeniami. Strapionego ducha ledwie na chwilę ukojła modlitwa, troska powracała znowu. Dręczył się sam. Sieciech wezwany do rady zawsze miał jedno na ustach, użycie siły i grozy, król właśnie wstręt do obojga.

Obawiał się skutków.

Wieczora tego zostawiony sam sobie z milczącymi urzędnikami

przybocznymi, król opanowany był przez te widma straszliwe klęsk i zawichrzeń, gdy komornik wbiegł, oznajmując o Bolka powrocie. Nie wiedział więcej nic nad to, że królewicz sam przybył z drużyną, a wojska przy nim nie było.

W pierwszej chwili przeraził się król, myśląc, że Pomorcy ich pobili, a Bolko ledwie uszedł z życiem. Cały drżący posłał i po syna, aby mu się natychmiast stawił.

Prosto więc z konia, jak stał, wpadł Bolko do królewskiej komnaty i

przybiegł do ojca, który, nim się doń odezwał, długo w objęciach go trzymał.

— Ocalony jesteś! — zawołał. — Bogu niech będzie chwała! A Zbigniew?

— Nie byliśmy na żadnej wyprawie — odezwał się Bolko. — Co Zbigniew

uczyni, ja nie wiem. Nie rycerz z niego, a uparł się zwierzchnie dowództwo brać, z prawa starszeństwa. Ja pod jego rozkazy iść nie mogłem i nie pójdę. Wrócić musiałem z próżnymi rękami.

Pobladł król. Jedno niebezpieczeństwo znikło, drugie, gorsze groziło. To, czego się lękał, co przewidywał, waśń braterska już gorzała w sercach.

— Poważniliście się więc! — zawołał — bracia, wy, coście się miłować powinni!

— Nie poczynałem sporu — odpowiedział Bolko — a ulec mi się nie godziło. Rości sobie prawa nade mną!

To mówiąc dumnie spoglądał.

— Miły ojczy — dodał — nie przeciwilem się jego uwolnieniu ani uposażeniu, byłem mu bratem dobrym, ale się zgnieść i w sługę obrócić nie dam!

Władysław, oczy zakrywszy, siedział przy stole. Słowa te i głos trochę gniewny syna ścisnęły mu serce. Straszne sny nocne, czarna owa przyszłość, o którą drżał, stały przed nim. Grzech jego mścił się nad nim.

— Cóż później będzie — odezwał się z cicha — gdy już dziś tak jest? Dziś o dowództwo, jutro się zagryzać poczniecie o ziemie królestwa tego i panowanie nad nimi!

— Nie — odezwał się Bolko. — Komu naznaczysz zwierzchność, temu

posłusznym być musi drugi. Każesz mi słuchać, będę. Dziś myśmy równi, w jednych prawach, synowie twoi. Ja młodszy jestem, ale matka moja starszą była!

On starszy nie prawem, ale tylko łaską twoją.

— Dość, dość! — przerwał król. — Ukój się, uspokój, uczynię wedle

sumienia, aby zgoda panowała między wami. Jam stary, chory, niedołężny, puszczyć wam rządy, patrzeć chcę, jak je sprawiacie będziecie.

— Ojczy Miłościwy — przerwał Bolko — rządźcie Wy sami, królujcie! Ja

nie chcę nic, ino na wojnę gdy idę, sam być muszę, nie pod nim.

Po krótkiej rozmowie odszedł królewicz. Od drużyny jego cały już dwór wiedział, co się stało, pobiegli zausznicy z językiem do królowej, do Sieciecha, który na zamku właśnie był i u Judyty siedział.

Gdy wieść tę przyniesiono, królowa natychmiast córki i służebne wysłała precz, aby sama pozostać z wojewodą.

W twarzy Sieciecha widać było zwycięstwo i radość złośliwą.

— Jest, jakom przewidział — zawołał — poczyna się rozwiązywać sprawa.

Nie stałoż się tak, jakem zapowiadał, że gdy Zbigniewa na wolę puszczą, jeść się będą i zajedzą?

Królowa uśmiechnięta zbliżyła się doń i dotknęła jego ręki.

— A co dalej? — zapytała cicho.

— Co dalej? Sądzę, że nawet ich i podżegać nie trzeba, bo się nie pogodzą

— mówił Sieciech — źle by było, gdyby się pojednali, a nawet pojednawszy się, długo w zgodzie nie wytrwają. Jeden z nich uwolni nas od drugiego, pozostałemu damy rady!

Sieciech ożywiony był i ciągnął dalej.

— Oba są otoczeni ludźmi moimi, żaden ich krok mi nie tajny, żadne słowo nie wyjdzie z ust, aby mi go nie powtórzono. Przy Zbigniewie mam zauszniaka, dla którego on nie ma tajemnic, z Bolkiem trudniej, ale i na tego oko mają. Ten głośno prawi, co myśli. W pierwszej wyprawie na Pomorców czy na Czechów

zapalczywość dziecinna go zgubi.

Uśmiechnął się chytrze, oczy mu pałały, królowa była uradowana i patrzyła nań z czułością wielką.

— Nie lękasz się swoich, by cię zdradzili? — szepnęła

— Nie, moim złotem żyją — rzekł Sieciech — tamci ich za co kupić nie mają.

Mieniały się uśmiechy i wejrzenia; Judyta zdała szczęśliwą.

— Wszystko dobre — rzekła, głos zniżając — lecz pospieszać trzeba. Król dogorywa widocznie, mówię Wam, powtarzam, dni jego policzone, ociągać się nie godzi.

— Wszystko teraz spieszonym pójdzie krokiem — rzekł Sieciech.

Zasłona we drzwiach poruszyła się i zaszeleściła; wszedł podkomorzy

królewski. Ukłonił się nisko wojewodzie i ręką wskazał, że król go wzywa do siebie. Zrozumiał to łącno Sieciech, bo się spodziewał, że doń przyślą. Gdy podkomorzy się oddalił, wojewoda w ślad za nim pośpieszył, spojrział tylko ku królowej, która ścigała go oczyma i odchodzącemu od ust pożegnanie posłała poufałe. Nieraz tak i przy ludziach okazywała czułość swą ulubieńcowi.

Sieciech zastał króla na zwykłym miejscu, pogrążonego w myślach tak, że choć wojewoda wszedł i stanął przed nim, nierychło głowę ciężką podniósł i zagryzione usta otworzył. Milcząc, potem wyciągnął doń ręce, jakby pomocy błagał, jakby go wzywał na ratunek, pewien, że już Sieciech uwiadomiony jest o wszystkim. Wojewoda z dobrze udaną obojętnością stał u stołu, jedną ręką w bok się ująwszy, drugą spierając na nim.

— Miły mój! Druhu mój, rado moja jedyna — płaczliwie począł Władysław

— wiecie już?

— A! — rozśmiał się nielitościwie Sieciech — miłościwy królu, macie to, czegoście żądali, coście sobie uczynili sami, a co ja przepowiadałem. Toć było nieuchronne. Dwu ich jest teraz, wojna między nimi musi być, póki jeden nie zostanie.

Okrutne te słowa raziły króla mocno; ręką rzucił odganiając przepowiednię, oparł się o krzesło bezsilny i mrucał po cichu, jakby się modlił.

— Ratujcież! Zapobieżcie! — zawołał — radźcie! Jam niedołężny, jam

słaby, nie podołam już temu. Z sobą bić się będą, a mnie, mnie zabiją! Mnie! Co czynić? Co postawić między nimi?

Wojewoda ramionami strząsnął.

— Dwu gospodarzy w jednym domu, zgoda trudna — rzekł — jeden ustąpić musi.

— Dom wielki! — zawołał król.

Tak się rozpoczynała rozmowa, gdy niespodzianie podkomorzy ode drzwi

postąpił, oznajmując arcybiskupa Marcina, któremu biskup Filip towarzyszył.

Król posłyszawszy, natychmiast z krzesła chwycił się drżący, wskazując Sieciechowi, aby mu rękę podał, i spiesznym, o ile zdołał, krokiem, poszedł na spotkanie dwu pasterzy. Zarówno jak poprzednicy jego, król nawykł był

starszyźnie duchownej największą cześć oddawać, aby przykładem swym drugich do poszanowania jej wdrażać. Arcybiskup gnieźnieński szedł z królem w parze władzą i znaczeniem.

Chory Władysław aż do drzwi swych wyszedł na spotkanie sędziwego

arcybiskupa. Przybycie jego nigdy pożądanym być nie mogło. Po Sieciechu, którego się równie obawiał, jak kochał, ojciec Marcin pierwszym był dla niego, szanował go król i wierzył weń. Wiek, dostojność, charakter nadawały mu powagę wielką.

— Bóg Was tu zesłał w tej chwili! — zawołał król, z uczuciem całując rękę pasterza, który go błogosławił — Bogu niech za to będą dzięki! Znajdujecie mnie w trwodze i boleści wielkiej.

Przybycie to, tak pożądane dla króla, dla Sieciecha było

najnieprzyjemniejszym wypadkiem. Wojewoda zmienił się na twarzy, ustąpił z niej wyraz zwycięski, nachmurzył się, zafrasował, pomieszał; przeczuwał, że mu arcybiskup znowu szyki pomiesza. Nie silił się nawet na udawanie spokoju i wesela.

Arcybiskup Marcin i biskup Filip usiedli u królewskiego stołu, wojewoda zatrzymał się nieco, wahał się widocznie, pozostać ma czy odejść, pilnować króla czy opuścić go i zdać na doradców duchownych, gdy Władysław, przyzwawszy go, szepnął mu coś do ucha wydając jakieś rozkazy. Wojewoda zwolna i z niechęcią oddalił się z komnaty.

— Ojciec mój — począł król, który ręce miał zwyczaj mówiąc składać jak do modlitwy, gdy był poruszony — ojciec mój, Bóg Was tu zesłał do mnie w chwili ucisku jako anioła pocieszyciela!

Arcybiskup milczał, król odetchnąwszy ciągnął dalej:

— Ojciec mój — począł król — oto mści się na mnie grzech mój. Ten, dla którego wyście wolność wyprosili, powstaje na brata. To, czegom się obawiał, przyszło; drzę i płaczę... Niezgoda wstąpiła w dom mój, grozi mu zgubą!

Arcybiskup zdziwił się i przeraził, wieść bowiem o wypadku jeszcze go była nie doszła. Król opowiedział mu to, o czym od syna słyszał.

Starzec milczał długo, zdumiony i przybity. Bolał nad tym z ojcem na równi.

— Pojednać ich musimy — rzekł — pojednamy! Każemy u ołtarza

poprzysiąc obie miłość braterską. Krewkość to młodzieńcza!

— A! Zechcąż oni posłuchać nas, przejednać się! — rzekł Władysław, głową poruszając tęsknie. — Lękam się przysięgi, aby uniesieni lub podmówieni krzywoprzysiężcami się nie stali. Raczej zapobiec potrzeba, ażeby do waśni żadnego nie mieli powodu.

— Rozum tak każe — potwierdził arcybiskup. Król spoczął nieco i ciągnął

dalej:

— Bóg mnie może natchnął, lecz we łzach oto myśl powziąłem. Zwierzam

się jej Wam tylko, niech ona przy Was zostanie do czasu tajemnicą. Mnie sił co dzień brak więcej do rządzenia tym państwem. Sieciech, wierny sługa mój, nie podola temu. Nieprzyjacioły ma liczne. Chcę między synów podzielić królestwo za żywota, patrzeć i czuwać, jak rządzić będą. Płock tylko i Mazowsze zostawię sobie, starczy to dla mnie. Uspokoi się dusza moja!

Z widocznym politowaniem nad boleścią królewską słuchał arcybiskup.

— Rzekliście — odezwał się — Miłościwy Panie, że Sieciech wiernym jest Waszym sługą.

Głos, którym te wyrazy wymówił starzec, zdawał się wątpliwość oznaczać.

Król, przestraszony, drgnął cały, oczyma powiódł dokoła, jakby lękał się świadków niewidzialnych rozmowy.

— Nie wątpcie o tym — zawołał — wiernym mi, najwierniejszym jest sługą, a służąc mnie, nieprzyjaciół sobie uczynił wielu. Dla mnie on trzecim dziecięciem, więcej może, druhem, podporą, tarczą, rozumem moim, prawicą, wszystkim.

Mówił coraz żywiej chory, aż tchu mu zabrakło.

Stary pasterz spojrział dokoła i z piersi mu się dobyło ciężkie westchnienie.

— Nie przystałoby mi Was, panie, z błędu wywodzić — rzekł z powagą —

gdyby nie było to sumienia obowiązkiem. Wy miłujecie Sieciecha, lecz on więcej pono własne korzyści swe niżeli Was miłuje. Jam powinien ostrzec Was.

Zbladły i wylękły król ręce łamał i oczy zakrywał.

— Nieprzyjaciół jego głosy w piersi się waszej odbiły, ojcze mój! —

zawołał. — W obronie mojej stojąc, przyczynił ich sobie, zazdrozczą mu.

Biskupi spojrzeli po sobie.

— Po cóż bym zasmucać miał duszę twą, królu a panie — odezwał się

arcybiskup — gdybym pewien nie był, iż mówię prawdę? Patrzcie, słuchajcie, a nie zaślepiajcie się.

Na to nie odpowiedział Władysław i, umyślnie zwracając rozmowę, szepnął

z cicha:

— Powiedzcie mi ojcze, co sądzicie o zamiarze moim podziału państwa

tego?

— Jeżeli spokój i zgodę nim okupić możecie — odpowiedział o. Marcin —

dłaczegoż byście tak uczynić nie mieli? Inni panowie chrześcijańscy nie jeden raz tak dzielili kraje swoje. Lecz, Miłościwy Królu, zamiast mnie jednego, a przytomnego tu brata mojego, miasto Sieciecha, czemu byście panów, ziemiany, starszych królestwa Waszego nie zwołali, aby im przełożyć myśl Waszą?

Milczeniem król przyjął radę, zdawało mu się zbyt liczne powoływanie starszyzny.

— Życzylbym — mówił arcybiskup — powołać na wiec duchownych, świeckich, władyków i żupanów, a ziemian. Sieciech może przeciwnym będzie temu.

Posłyszawszy to król drgnął niecierpliwie.

— Jeżeli sądzicie, że potrzebny wiec — rzekł żywo — powołajcie nań, rozkażcie, niechaj się zjadą. Zdaję to na Przewielebność Waszą.

— Uczynię, jak żądacie — odpowiedział starzec, patrząc na zmienioną i zafrasowaną twarz królewską. — Przyjdziemy w pomoc tobie, Miłościwy Panie.

Niech się nie trwoży serce Wasze, a strapienie duszy nie ogarnia. Miłościwy jest Bóg, w rękach Jego wszystko. Nie spadnie włos bez woli Jego. Przywłóklęm się tu

— ciągnął dalej — bo mnie straszne doszły wieści o knowaniach Sieciecha. Nie pierwsze to ani z jednych ust idą.

Ujrzawszy znowu słabnącego króla, starzec go ujął za rękę.

— Zamilczę — rzekł — po co mam Waszej przymnażać boleści, gdy wiary słowom dać nie chcecie.

Zamilkli; król tak był poruszony, iż w istocie litość obudzał. Spalone usta otwierał ciągle, jak by mu tchu brakło, ręką uciskał piersi, oczy podnosił, oddech stawał się coraz cięższy, jakby go tłumione tamowało łkanie.

Rozmowa dłużej już przeciągnąć się nie mogła. Powstał arcybiskup, przyrzekając, że imieniem króla na wiec powoła.

— Uczynicie to rychło — odezwał się król — dni moje policzone są, a w pokoju chcę umierać i rozterki nie zostawić po sobie.

— Będziecie żyć, Miłościwy Panie — rzekł arcybiskup, złożył ręce i zmówiwszy po cichu modlitewkę łacińską, zabierał się do odejścia.

Król, choć osłabiony, wstał i, kazawszy się pod rękę wieść komornikom swym, z tym samym obrzędem jak wprzód odprowadził ojca Marcina do progu.

Dopiero gdy go znów w krzesło posadzono, padłszy na nie, jak by ostatek sił

postradał. Oczy zamknął i obwisł omdlały. Nie miał czasu spoczywać, gdyż w tejże chwili hałaśliwie wpadł wojewoda Sieciech.

Przestraszony król porwał się, a obaczywszy go, lice mu się wyjaśniło, uśmiechnął się i rękę doń wyciągnął. Przestroga arcybiskupa wcale nań nie podziałała, widać było, że się nawet nie myślał zwierzyć ulubieńcowi z tego, co mu o nim doniesiono, aby jemu i sobie przykrości oszczędzić. Nie po raz to pierwszy przychodziły do króla na Sieciecha doniesienia i skargi, obwiniano go niemal jawnie, zarzucano mu czyny, stawiano ludzi na świadki, król nie chciał słuchać i widzieć nie chciał. Pewien tego ślepego przywiązania, wojewoda czuł się nim silnym; zdało mu się, że żadna w świecie potęga obalić go nie może; nie rachował

na to, że król raczej był słabym niż stałym w przywiązaniu i nade wszystko pokoju pragnął; że dla pokoju tego w końcu i jego mógł poświęcić.

— Najprzewielebniejszy pasterz — odezwał się Sieciech, zajmując miejsce u stołu — nie przybył tu pewnie daremnie, aby nas pobłogosławić. Należy do nieprzyjaciół moich, wiem to i czuję. Czy znowu o jaką zdradę mnie pomawia?

Słowa te mieszały króla, którego wojewoda badał bystrym wzrokiem,

zapłonął się, począł głową potrząsać, jak by zaprzeczał, choć cała postać i twarz dowodziły, że Sieciech odgadł, iż mu coś zagrażało. Władysław nie odpowiadał, a wojewoda ciągnął dalej:

— Może arcybiskup przywiózł znowu myśl jaką tak zbawienną jak uwolnienie Zbigniewa?

I szydersko królowi w oczy poglądał.

— Nie, nie — wyjąknął zmieszany król — o zdrowiu mym słabym i ubywających siłach mówiliśmy. Skarzyłem mu się.

Sieciech nie dopytywał więcej, zwrócono rozmowę na spór dwu braci.

Wojewoda wziął stronę Zbigniewa.

— Miłościwy Królu — rzekł — Bolko choć tak młody, nie cierpi już żadnej nad sobą władzy. Wojsław skarży się nań, że mu się z rąk wrywa. I teraz, gdy się wybierał do Santoka, uszedł przed nim niepostrzeżony. Ochmistrz, gdyby z nim był, zapobiegłby pewnie swarowi. Królewicz Zbigniew starszy jest wiekiem, starszy urodzeniem, cóż dziwnego, że chce mieć pierwszeństwo? Powołać potrzeba tutaj obu i sprawę królewską władzą rozsądzić.

Milczał ojciec, nie sprzeciwiając się w niczym. Jak gdyby chciał

wynagrodzić Sieciechowi oskarżenie tajemne, które miał na sercu, był dlań tego dnia pełnym łaskawości i dobroci, zatrzymał go do późna u siebie, całował, ścisnął, a gdyby mu był już wprzód

nie oddał wszystko, co miał, byłby go obdarzył

jeszcze, aby za obwinienie opłacić. Ta dobroć i czułość nadzwyczajna, choć do niej Sieciech był nawykłym, obudziła w nim jakieś podejrzenie. Odszedł niespokojny, posądzając nie bez przyczyny arcybiskupa.

Trzeciego dnia, choć nie powołany, Zbigniew przybył do Płocka. Nie stanął

jednak na zamku, ale się gospodą rozłożył w miasteczku w dwu czy trzech domach, z których mieszkańców wyrzucono na podwórze. Rażniej mu tu było i swobodniej, bo na zamku czeladź jego rozpasana dokazywać tak nie mogła, a on sam wstydził

się onych zabaw, które sobie wyprawiał, często po całych nocach biesiadując z drużyną.

Na gospodzie przeodziawszy się, kazawszy orszakowi swemu wystąpić po

książęcemu, jak był zwykł, w rogi trąbiąc, ze szczękiem i brzękiem wciągnął na zamek do ojca. Król się przestraszył wrzawą, ale mu dano znać, kto był.

Choć miłość dla tego dziecka, a bardziej poczucie obowiązku króla ku niemu pociągało, Zbigniew nigdy mu nie był tak jak Bolko ukochanym. Wstydził się Zbigniewa, obawiał się go, zrażał się obejściem szorstkim i prawie zuchwałym. Nie pytany wchodził do izby, nie oddając królowi należnego poszanowania,

narzekaniami i skargami starego zameczał, ze słabości jego korzystał.

Dnia tego, czując się winnym, tym szumniej i bezwstydniej wystąpił

przed ojcem. Bolko był już tego dnia na łowach z drużyną, mógł więc swobodnie ze skargami się rozwodzić.

Wszedłszy i zaledwie się pokłoniwszy, zaraz zaczął od nich.

— Przybywam do miłościwego ojca i pana z żalem i skargą — odezwał się.

— Wyprawa na niczym spełzła, nie z mojej winy.

— Wiem — odparł król sucho.

— Jestem przecie starszy, należy mi dowództwo!

— Jako żołnierz i rycerz młodszy jesteś — odparł król surowo. — Byłeś jeszcze w klasztorze, gdy Bolko dzieckiem już bił zwierza dzikiego i gonił

nieprzyjaciela. Mogliście razem iść w zgodzie braterskiej, tyś spór wszczął.

— Wiem to — dumnie zawołał Zbigniew — że mnie zawsze będzie wina

przypisaną. Zaprawdę nie było po co mnie tu ściągać z więzienia i mianować królewskim synem, abym młodszemu służył za igraszkę i pośmiewisko. W żywe oczy mnie przezywają klechą, wszyscy patrzą na mnie krzywo, Bolko się wyśmiewa, jego drużyna przy każdym spotkaniu na gościńcu mnie przedrwiwa. Ja tego ścierpieć nie mogę.

Król popatrzał i nie odpowiedział nic, Zbigniew nadaremnie żale swe rozwodził.

Królowa Judyta, która już wiedziała o przybyciu Zbigniewa, a na złość Bolkowi, znieawidzonemu przez nią, i w myśl Sieciecha, rada była starszemu bratu okazywać dobrą wolę, zabrała go z sobą na wieczerzę.

Król zawsze jadał sam i niewiele. Otwarty stół dla dworu i gości trzymała Judyta, lubiąca twarze nowe, wesołość i śmiechy młodzieży. Więcej tu było swobody niż cesarskiej siostrze i żonie królewskiej przystało, za mało poszanowania dla pani. Lecz wszyscy już byli do tego nawykli. Królowa sama chętnie otwierała usta, swawolne żarty strojąc i niepomiarłą wyzywając wesołość.

Ona, trzy jej córki i mnogi orszak Niemek, Polek i Węgierek siadały przy stołach, u których też jadała młodzież dworska i starszyzna przybywająca do króla z pokłonami.

Lubiła Judyta przepych, stoły zastawione były wspaniale i zbyt kownie, lecz ładu i karności przy nich nie było. Dzbany gząc się wywracano, padały kubki, szepty i biegania poza ławami, wrzawa po kątach zapełniały izbę jadalną. Pod koniec każdej takiej uczyty wieczornej zwoływano grajków, nucono pieśni, a że wina, miodu i piwa podostatkiem bywało, zabawy trwały do późna i bez płasów się nie obchodziło. Niemłoda już pani, zawsze strojna, wymuskana, zalotna, chodziła sama w tany z wybranymi, dając sobie mówić więcej, niż się godziło, choć w owych czasach godziło się bardzo wiele, na królewskich nawet dworach.

Królewien też nie strzeżono bardzo, a dwór pani sam się chyba musiał strzec, bo mu niej broniono nic wcale.

Zbigniewowi rozchmurzyło się czoło, gdy się znalazł w izbie, w której woń mięsiwa, napoju, kwiatów i olejków, którymi niewiasty głowy sobie namaszczały, przyjemnie połechtala jego powonienie. Dawny kleryk miał wielką do niewiast ciekawość, a niezbyt w nich przebierał; dwór królowej obfitował szczególnie w piękne i wesołe dziewczęta.

Pomiędzy Niemkami odznaczała się ulubienica i powiernica pani, Greta, która choć niezbyt już młodziuchna, bo pono do lat trzydziestu się zbliżała, miała jeszcze dobrze zachowaną świeżość jasnowłosych córek Teutonów, a piękną budową, wesołymi oczyma niebieskimi, śmiałością w obejściu się z mężczyznami przechodziła swe współzawodniczki. Wiele tam rozprawiano o tej Grecie i przygodach jej różnych: miała zawsze miłośników wielu, ale na kobierzec nikt jakoś prowadzić się jej nie ważył. Nie zdało się to ją obchodzić wiele, bo twarz miała zawsze wesołą i jasną, żart na ustach i odpowiedź gotową, a wydawała się szczęśliwą. Prawa ręka królowej, służyła jej do wszystkiego, do przyciągania tych, których potrzebowano, szpiegowania innych, jeśli się obawiano. Z dobrej woli czy z rozkazu Judyty, Greta starała się uwikłać w swe sieci młodziuchnego

Bolka, ogniste pacholę nad wiek dojrzałe. Zdało się to bardzo łatwym, lecz Bolko oprócz swych koni, psów, sokołów i wojennych zabaw nie lubił nic. Na dziewczęce zaloty odpowiadał śmieszkim obojętnym, a gdy te szły za daleko, z dumą je odtrącał.

Tak samo zbył się natrętnej Grety.

Jasnowłosa na pozór łagodna istota, która patrzyła takimi niebieskimi oczyma, jak spokojne lazurowych wód tonie, w których się niebo przegląda, pod tym pozorem trzpiotowatym i chłodnym miała niepohamowane namiętności. Jak pod kwiatami wąż, pod jej uśmiechem dziecinnym chowało się zemsty pragnienie.

Królowa, która wiedziała wszystko, domyślała się i tego uczucia łatwo.

— A! — szepnęła do Grety dnia tego — jednego królewicza nie udało ci się pochwycić, za to drugiego weźmiesz, gdy zechcesz tylko. Ten ci pomoże dopiec tamtemu, co tobą pogardził i obraził srodze. Próbuje.

Greta nie miała dla pani tajemnic, jak królowa dla niej, spojrzała w oczy Judycie, zarazem pytając ją i myśl jej potwierdzając.

— O! Zbigniew — śmiejąc się mówiła królowa — parobek, niepiękny

wcale, ale młody i królewicz. Gdybyś go sobie ujęła, a przywiązała, zdałoby się to i dla mnie Nie bardzo mu się trzeba drożyć, bo chłopak nieśmiały być musi.

Poszeptały tak z sobą na uboczu, a przed ucztą wieczorną Greta się

przystroiła tak, że zdała się mieć lat piętnaście i być jeszcze dziewczątkiem niewinnym.

VI

Pijany jeszcze kłótnią swą z bratem i urojonym nad nim zwycięstwem,

Zbigniew był dobrej myśli. Śniło mu się teraz królowanie, zemsta i zamiast sukni mniszej, która go paliła jeszcze wspomnieniem, złotem bramowany płaszcz królewski. Wszedł do izby, w której oczekiwano na królowę, ze swym zwykłym niezgrabstwem i butą, potrącając ludzi, wywracając ławy i oznajmując się hałaśliwie. Wrzawa mu wszędzie towarzyszyła.

Za nim szedł niedobry dwór jego, zbierana włóczęgów drużyna, którą

Marko Sobiejucha dowodził. Była to gromada z różnych narodów, różnego wieku ludzi złożona, po większej części takich, co się gdzie indziej nie mogli pomieścić.

Zbigniew czasu długiego swojego pobytu w saskim klasztorze na pół się stał

Niemcem, chętnie więc i Niemców brał do siebie, miał kilku Czechów; koło niego też często szwargotano tym językiem, dla drugich niezrozumiałym. Marko w swych wędrówkach nabył w nim wprawy. Mówił on źle, ale za to wszystkimi językami znanymi i tak śmiało, jak by się z nimi w ustach urodził.

Bolek miał samą młodzież z Polan dobraną, synów najmężniejszych

władków i rycerzy, a jednego tylko starca, co jak Marko po zachodnich krajach wędrował, a praw ówczesnego rycerstwa i turniejów tam się nauczył.

Bolkowa drużyna przy królowej dworze łamać sobie musiała języki, aby się z nim rozmówić, Zbigniewa towarzysze między Niemcami i Węgrami byli jak w domu. Bratało się to wszystko z sobą. Królewicz, którego Judyta z początku wzgardliwie odpychała, mówić prawie nie chcąc do niego, nie lubił jej wprawdzie, lecz pewne poszanowanie okazywać jej musiał.

W chwili po wnijsciu królewicza do izby ukazał się ochmistrz królowej Judyty z laską w ręku, poprzedzający siostrę cesarską, strojną jak zawsze, uśmiechającą się i wdzięczącą.

Za nią, tuż przy królewnach, szła piękna Greta, którą Judyta sama na dzień ten przystroiła. Miała na sobie obcisłą suknię niebieską, która pełne jej kształty aż do zbytku uwydatniała, złoty pas, na czole przepaskę złocistą, na szyi łańcuch z wiszącymi, poczepianymi do niego kółkami, pierścieniami i kutasy. Utrefione włosy jasne w części się zwijały około ślicznej twarzyczki na głowie, w części spadały na białe, pulchne ramiona. Blask i świeżość tego kwiatka, który zdawał się dopiero rozwinięty, porywały oczy wszystkich, cmokali patrząc na nią starzy i młodzi, a Greta, choć zdawała się nie wiedzieć o tym, czuła, że ją wejrzeniami ścigano.

— Eh! Marko mój — szepnął Zbigniew, patrząc na Niemkę przechodzącą

powoli ze spuszczonej oczyma. — Dobrze, że sutannę zrzuciłem, wolno mi teraz choć oczy napaść tą zwierzyną! Patrzaj no, co za łania! Człek by za nią w las pobiec gotów!

Marko, choć podżyły, był też wielkim niewiast wielbicielem, szepnął na ucho królewiczowi:

— Nam to na tę zwierzynę tylko patrzeć z dala i oblizywać się, a Wam ino chcieć, to ją mieć będziecie łatwo.

— Oho! — odparł Zbigniew — nie tak łatwo, jak ci się zdaje, dziewczka dumna i królowej ulubienica.

— To co? — zawołał Marko, śmiejąc się. — Będzie wołała ulubienicą królewicza zostać niż królowej! Ino skińcie palcem, a ja pójdę w swaty.

— Przecież się z nią nie ożenię! — zaśmiał się Zbigniew.

— Któż by myślał o tym tak zawczasu — począł Marko. — Tymczasem zabawić się nikt nie broni, gdy dziewczyna hoża i nie od tego.

Królowa dla Zbigniewa była dnia tego jak nigdy łaskawą. Skinęła nań

uprzejmie, a złożyło się jakoś tak, że królewiczowi miejsce dano tam, gdzie się niewiast siedzenia kończyły; usadowił się tuż obok pięknej Grety.

Z rachuby zalotniczej wypadało odsuwać się od niego bardzo bojaźliwie a skromnie; królewicz, wyzwany tą obawą, coraz bliżej przysuwać się zaczął.

Spojrzeli sobie w oczy, ona stłumiła śmiech, z którym się lękała wybuchnąć, on mrugał ku niej tak śmiało, jak by nigdy klerykiem nie był.

W owych czasach pierwotnych całe inny był stosunek z niewiastami,

swobodniejszy daleko i śmielszy. Mówiono sobie w żartach takie piękne rzeczy, jak w dramatach Shakespeare'a, jak nasi parobcy folwarcznym dziewczętom prawią. Choć we Francji już *Cours d'amour* się poczynały i słodkie słowa, a dowcipne igraszki w użyciu były i modzie, igrano tak grubo, że dziś zagadek, które książęta królewnom zadawali, trudno by w przedpokoju powtórzyć. Królowa Judyta lubiła, gdy około niej o takich wesołych rzeczach mówiono; wkrótce po usiądzeniu na ławach śmiechy się rozpoczęły.

Greta mierzyła ciekawymi oczyma tego, którego z rozkazu pani ująć sobie miała. Niepowabny był wcale z długą swą twarzą bladą i grubymi rysy,

wstrętliwego coś w nim było, dzikiego, wzbudzającego obawę. Nawet namiętność ta, która łagodzi człowieka, w nim przybierała wyraz jakiś groźny i krwiożerczy.

Ale i Greta była pod złotymi włosy, białą twarzą, lazurowymi oczyma, stworzeniem, co się bronić umiało, opanować potrafiło i nie ulękło łatwo. W tym spotkaniu szło jej tylko o to, by

wiedziała, czy zmóc go potrafi, czy w nim siła jest większa nad tę, którą w sobie czuła. Każdą niewiastę instynkt tego uczy cudowny.

Dwa razy oczyma zetrze się z przeciwnikiem i wie, czy mu ustąpić ma, czy go podbije i zapanuje nad nim. Dwa też razy Greta wlepiła swe na pozór spokojne wejrzenie w Zbigniewie i za drugim kleryk oczy spuścił zmieszany.

Rozmowa poczęła się dziwnie, od usuwania na ławce i napastliwego

zbliżania. Zbigniew zwyciężył, dano mu się przysiąc blisko — umyślnie. Był

pewien, że zdobył siłą to miejsce. Nim przyszło do słów, śmiech się rozsiadł na ustach Greta, która aż zakrywała usta i oczy, tak się jej niby niepomierne śmiać chciało, bo potrzeba było wesołością zagaić rozmowę, aby ją uczynić śmielszą i ostrzejszą. Zbigniew śmiał się także, ryhocząc szerokimi ustami, nie kryjąc się, chwając przed wszystkimi z zaczepki i walki. Greta się nie wstydziła, choć na nią zewsząd patrzano. Dalszą rozmowę poczęły ręce pod stołem.

Jedna z nich, (nieostrożnie jakoś była zwieszona, a tak śliczna, biała, pulchna, bezbronna, strojna w ogromne pierścienie leżała tuż blisko, że ją królewicz pochwycił. Wyrwała mu się natychmiast, dziewczę się odsunęło, niby strasznie przelękłe, niby srodze zagniewane. Zbigniew śmieiej pochwycił raz drugi tę źle uciekającą rękę, poczęła mu się wyrywać znowu, wyrwała, dogonił ją w drodze i zatrzymał, ściskając mocno. Trzeba było ulec przemocy! Czuł, jak drżała w jego dłoni.

Wszystko to doświadczona Greta mogła obrachować z góry, a gdy królewicz już ją zagarnął, jęknęła po niemiecku:

— Jak to Wasza Miłość napastliwy jesteś i dla niewiast niebezpieczny.

Prawdziwie.

— Byłoby obrażającym — rzekł kleryk — ażebym, siedząc koło tak ślicznej panny, nie starał się jej sobie pozyskać.

— O, ja wcale nie jestem piękną — odparła Greta wyzywająco.

— Jesteś najpiękniejsza — odpowiedział Zbigniew. — Klnę się, że takiej jak Wy nie widział jeszcze nigdy.

— Boś Miłościwy Pan w klasztorze nie widział żadnej — śmiejąc się rzekła Greta.

Na wspomnienie klasztoru znieawidzonego Zbigniew się zachmurzył nieco.

— Dajcie mi tam pokój z klasztorem — zawołał — nie wrócę do niego

więcej, psie w nim było życie.

Ręka, którą pochwycił Zbigniew, już mu się wcale nie wyrywała, choć

wysunąć się mogła, gdy chciała.

Wejrzeniem pełnym politowania odpowiedziała Greta. Królewicz pił, jadł, zmuszał do kosztowania wina z jednego kubka, czemu się panna zrazu wielce broniła, spoglądali na siebie coraz poufałej i porozumienie się nastąpiło przed końcem uczty.

— Piękna, najpiękniejsza Greto — odezwał się królewicz, ośmielając coraz bardziej — gdybyście mnie przyjęli za miłośnika sobie, kochałbym Was, jak należy.

— Alboż to Wy wiecie, jak miłować należy? — spytała, figlarnie

uśmiechając się panna. — Gdybyście posłuchali, jak to tam u nas, na Zachodzie, niewiastom cześć oddają i służbę przy nich pełnią rycerze...

— O tym ja nie wiem — przerwał Zbigniew — ale spróbujcie ze mną w

przyjaźni żyć, zobaczycie, że nie ustąpię w tym nikomu; a miłować potrafię. Tego się pono człek uczyć nie potrzebuje.

Greta zdawała się namyślać. Nie wypadało jej przyjmować tak łatwo, co tak bardzo zdobyć pragnęła. Podrożyć się trochę musiała.

U stołu inni się zajmowali tak dobrze wszelaką swawolą, błazen królowej Spatz takie wygadywał słone rzeczy, iż się izba śmiechami rozlegała, a Zbigniew mógł tymczasem bez przeszkody z Gretą się zabawiać.

— No, powiedzcież mi — odezwał się w końcu — jakże to będzie z nami?

To mówiąc już ją wpół obejmował, a Niemka, choć się niby trochę

wymykała, nie broniła jednak nad miarę.

— Ohydne zwierzę — mówiła sobie w duchu, w twarz mu patrząc z bliska

— ale i do takiego przyzwyczaić się można.

I zapalała go coraz mocniej niebieskimi oczyma.

— Królowa pani bardzo dla nas surowa — mówiła z cicha do królewicza. —

Wy jej nie dworujecie, ona się gniewa na Was. Cóż by było, gdyby się

dowiedziała?

— Co? — rozśmiał się królewicz, pochylając ku Niemce — Co? Greta by

poszła do mnie, a ja bym jej sobie odebrać nie dał. I gorzej by jej nie było u mnie niż na królowej

dworze.

Greta potrząsała główką.

— A, nie może to być, nie może! — poczęła żywo. — Wy się z ubogą dziewczyną ożenić nie możecie, a ja, ja...

Zbigniew, nie dając jej dokończyć, parsknął śmiechem i coś rzucił śmiesznego do ucha. Zarumieniła się mocno. Szeptano już ciszej...

Tak w sposób bardzo prosty i pierwotny poczęły się miłości niepięknego królewicza z prześliczną Niemką, w której on strach i obrzydzenie wzbudzał.

Naprzeciw siedzący z dala jeden z tych, co już miłość Greta mieli i stracili, patrząc na nią, mówił do drugiego:

— Bąku miły, patrz ino na tłustą Niemkę. Spojrzałeś ty kiedy w oczy

wężowi, gdy głowę spod liści wysunąwszy, ślepią swe otworzy? Zda się i on, jak by żądła nie miał, jak by się w tobie serdecznie miłował, jak by cię chciał całować!

Tak z Gretą, a i ona kąsa.

Greta tego dnia wydawała się odmłodzonym dziewczątkiem niewinnym.

Zbigniew pożerał ją oczyma; na królową z czarowaną z bajki mu wyglądała. On, co się jeszcze nigdy w życiu do tak uroczej nie zbliżył istoty, oszalał.

Gdy potem Judyta zawołała swą dziewczkę do siebie, a ta, Zbigniewowi

rzuciwszy wejrzeniem pożegnanie, pobiegła do pani, królewicz stłumionym głosem szepnął do Marka:

— Niech się dzieje, co chce, a ja ją muszę mieć. Dziewka jak jabłko złote.

Choćby przyszło siłą brać.

Podpiły Sobiejucha skłonił mu się do nóg.

— Każecie? Skiniecie? Królowej ją sprzed nosa pochwyćmy i na zamek który uwieziemy...

— Zaczekamy! Zobaczymy! — szepnął Zbigniew.

— Mnie się zda — dodał Marko — pójdzie ona i sama, gwałtu nie będzie

trzeba.

Królewicz się uśmiechnął.

Judyta, gładząc po twarzy ulubienicę, szeptała jej:

— Już go masz? Nieprawdaż? Patrzałam. Dobrześ zażyła klechę, ani tchnął.

Greta się śmiała do królowej cał inaczej teraz, z trochę szyderstwa i dumy.

— O, niewielka sztuka go było wziąć — rzekła cicho. — Tak miał długi post w klasztorze.

— A jeśliś go wzięła, trzymaj że i nie odprawiaj jak innych — dodała

królowa. — To się nam zda;

Gdy potem z kolei przyszły płasy i skoki, Zbigniew jak do wojny, tak i do nich się nie przydał, patrzył tylko. Chciało mu się bardzo pochwycić oburącz tę niebieską sukienkę i ponosić ją przy sobie; lecz choć się winem dobrze podochocił, choć odwagę miał, czuł, żeby go w tańcu wyśmiano. Inni więc zabierali mu Gretę i nosili się z nią, aż z zazdrości płonął, a ona go z dala oczyma wyzywała i jątrzyła.

Tymczasem królowa, która też z młodzieżą wyprawiała płasy, zdyszana,

zbliżywszy się do królewicza, pogroziła mu.

— Ino mi nie próbujcie bałamucić mojej Greta — rzekła — bobym się za to gniewała srodze. Znam ja was, tych, co to po klasztorach siadywali, a udało się im z nich wyrwać: nie ma nad nich straszniejszych ludzi na świecie dla biednych niewiastek.

Zbigniew się śmiał i dumniał.

— Chce się Wam koniecznie zbałamucić którą — ciągnęła dalej królowa,

wdzięcząc twarz starą — macie innych podostatkiem, których mi nie żal. To dziewczyna, jakiej drugiej nie ma. Do wszystkiego, do czego chceć, doskonała: i do szycia, i do śpiewu, i do opowiadania gadek, i do tańca, i do usługi. Myślę, że i do kochania wyśmienita być musi — dodała szydersko — ale ja jej do tego nie dopuszczę, boby mi się sprzeniewierzyć musiała.

— O, Miłościwa Pani, masz dworu dosyć! — odezwał się żartobliwie

Zbigniew.

— Ale Gretę tylko jedną, a drugiej takiej na świecie nie znaleźć! — odparła królowa.

W czasie tej rozmowy umyślnie od tańca przybiegła dziewczyna do

królowej, aby się Zbigniewowi pokazać z bliska, z zarumienionym liczkiem, z rozochoczoną twarzyczką. Dyszała ze zmęczenia, zębki pokazując białe, pierś się jej podnosiła, oko pałało. Królewicza dobiło wejrzenie. Królowa zaś Judyta, jak by zapomniała o niebezpieczeństwie, o którym mówiła, odeszła zaraz i zostawiła ich z sobą.

Usiadła na ławie zmęczona Greta, a Zbigniew, jak to było naówczas w obyczaju, podnózek wziął i na nim u kolan się jej przysiadł. Znaczyło to wiele, bo cały dwór patrzył. Greta triumfowała.

W tej chwili jakoś ustała gędzba i śpiewy, ciszej się zrobiło w sali i z podwórca słyszeć się dały rogi myśliwskie, Bolko z drużyną z łowów powracał.

Greta, posłyszawszy granie, pobladła.

— Pewnie brat mój z lasów powraca — zawołał Zbigniew — daje znać o swoim przybyciu, aby mu się radowano. Rycerz wielki!

— Dzieciak jeszcze — dorzuciła, Niemka.

— A już mu się chce nad starszymi panować — rzekł Zbigniew.

— O, gdyby mu tylko dozwolono, wszystkich by pod swe rządy zagarnął — rzekła cicho Greta,

— I Was? — zaśmiał się Zbigniew.

— O, nie, nie lubię tego malca — odpowiedziała Niemka — nie dałabym mu się i sukni mojej dotknąć.

— Za to, że go nie cierpicie — wtrącił królewicz — ja Was jeszcze we dwójnasób lepiej kocham. Ja go też nienawidzę!

— Strzeżcież się go — szepnęła Greta — bo zapalczywy jest i niebezpieczny.

— A jam też niełatwy do wzięcia i pokonania — zawołał, brew marszcząc, Zbigniew — wiercie mi.

Greta się trochę zapomniała, pochyliła ku Zbigniewowi, przegięła, zwiesiła nad nim, czuł oddech jej, woń włosów, dotykał prawie zalotnicy, która z nim długą rozpoczęła rozmowę wiedząc, co w nim drażnić było potrzeba, aby miłość i nienawiść rozbudzić. Nikt nie zważać się zdawał na nich, królewicz trzymał jej ręce, a te mu się nie wyrywały wcale i pierwszego dnia początek był tak dobry,

że już o Grecie nie wątpił szczęśliwy.

Nazajutrz schadzka była umówiona, wiedziała o niej królowa i Grecie się strzymać kazała, aby czekał dłużej i goręcej pragnął. Wszystkie wybiegi niewieście znano tu dobrze i posługiwano się nimi.

Zbigniew, jak tylko do gospody powrócił, Marka i Niemca, którego miał na posługach, wysłał szukać na podarek dla Grety klejnotu. Z niemałym trudem napytano u Żyda naszyjnik złoty, który ledwie puścił z rąk bez pieniędzy, za wysoką cenę. Królewicz przyniósł go z sobą. Zarumienionej Grecie wsunął w ręce ten podarek jako zadatek miłości wielkiej, a Niemka nie broniła się od przyjęcia go, co było najlepszym znakiem. Skryła go zaraz zręcznie i wejrzeniem podziękowała.

Marko, który z dala przypatrywał się obrotowi całej sprawy, rad był bardzo.

— Dobra nasza — rzekł. — Która tylko podarki przyjmuje i tego, co

obdarza, przyjąć potem musi. Będzie ją nasz pan miał. Bodaj tylko mu bokiem nie wylazła — dodał wielki znawca ludzi — widzi mi się, że jakieś kocie oczy ma, które zdradą strzelają.

Marko, który, jak sam często opowiadał, Niemki, Węgierki, Czeszki,

Włoszki i Greczynki w ciągu swych włóczęg po świecie poznać miał zręczność, a niewiasty na pierwszy rzut oka wyrozumiewał i ich naturę, w Grecie widział coś niebezpiecznego. Piękną była, a straszną. Królewiczowi przecie nie mówił o tym ni słowa, wiedział, że to by się na nic nie przydało.

Po uczcie dnia tego, Zbigniew, znikłszy z izby, znalazł się sam na sam w mieszkaniu Grety, które puste było, bo dwór jeszcze cały z królową zabawiał się śpiewem i graniem. Na osobności mieli wiele spraw ważniejszych do roztrząsania.

Greta chciała go przeciw Bolkowi rozjątrzyć i poburzyć, on ją myślał całkiem dla siebie pozyskać. Skierowała też wnet rozmowę na spór i walkę bratem.

— Sprawiedliwieście uczynili, nie chcąc mu ustąpić — mówiła — to

zuchwała gadzina, co do oczów skacze. Wszystkich pokąsał już niemało razy, królowę, wojewodę, ochmistrza swojego. Nikt go nie lubi, krom jednego króla starego, a boją się go wszyscy.

— Ja się go nie ulęknę — odparł Zbigniew uśmiechając się — ja go obalę.

Starszym jestem; nie zechce mi być posłusznym, zgmiotę go. Siedziałem ja w więzieniu, będzie i on w nim zamknięty.

— Król chory jest — poczęła Niemka — królowa pani powiada, że gorzej z nim co dzień. Wojewoda, o, ten Wam sprzyja więcej. Możecie poczynać śmiało.

Zdziwionym był nieco Zbigniew, znalazłszy oprócz milej przyjaciółki

sprzymierzeńca i pomocnika w Grecie. Zręczna dziewczyna starała się wmówić mu, że go nawet ostrzeże, jeśli by jakie od królowej niebezpieczeństwo zagrażało, choć zaprzysięgała, iż kochała bardzo królowę.

Zbigniew, znalazłszy ją tak przyjazną, wypowiedział się jej ze wszystkich swych zuchwałych myśli i zamiarów. Przebiegłe dziewczę miało go w ręku.

Wieczorem późnym, gdy z Markiem znalazł się w swej gospodzie, nie utrzymał i przed nim tajemnicy, wypowiedział mu wszystko z naiwnością człowieka, który potrzebując powiernika, nie przebiera w tym, co mu się nastrecza. Szczęśliwym był

i pewnym, że z łatwością cel osiągnie.

Przeciw Bolesławowi spiskowano do późnej nocy, solą w oku był im

wszystkim. Lubiło go rycerstwo, garnęli się do niego ziemianie, miał sławę dzielnego rycerza, potrzeba więc go było obalić. Zbigniew śmiało się kusił o to.

Od spotkania w Santoku z dala już byli od siebie. Bolko lekcewał brata i pokątne jego znowy, o których mu donoszono. W ojcu kochanym i kochającym go miał opiekuna, a ufał też własnej sile i druhom, których umiał pozyskać. Zbigniewa zazdrość z dniem każdym rosła. Ile razy obok siebie stawiali, młodszy pięknocią, postawą, zręcznością, wprawą we wszystkie rycerskie ćwiczenia brał nad nim górę.

Walczyć z nim ani się mógł porywać, burzył się i odgrażał. Ojciec po powrocie Bolka starał się ich sprowadzić razem dla pojednania; stawili się na rozkaz, podali ręce, bo król tego wymagał, ale w obu pozostała też sama gorycz i niechęć wzajemna. Bolko, o bracie mówiąc, przezywał go klechą i mrukiem. Zbigniew mu się odwdzięczał, lżąc go jako jaszczurkę jadowitą, co do oczów skacze.

Greta coraz silniej poduszczała Zbigniewa półsłówkami, rzucanymi przy spotkaniu. Waśń się zajętrzała, a wojewoda, choć z rozkazu króla starał się jednać, dopomagał do utrzymania niechęci. Czasem i królowa Judyta niby przypadkiem potrąciła, mówiąc ze Zbigniewem, o nieznośną Bolka dumę, jego chęć wynoszenia się i panowania. Wszystko do palącego się już ognia dolewało smoły.

Na Bolku jednak najmniej znać było, żeby go to miało wielce obchodzić; on i jego drużyna żyli trybem całę odrębnym, niewiele się łącząc z innymi. Rycerskie gonitwy, małe turnieje na wzór tych, które się na cesarskim dworze co roku prawie uroczyście odbywały, wprawa we wszystkie wojennego rzemiosła obyczaję, były głównym zajęciem i celem życia dorastającego królewicza, który przedwcześnie pasa rycerskiego się dorabiał.

Ani pohamować, ani pokierować nim nie mógł powolny i dobry Wojśław,

który się ochmistrem nazywał, ale był nim więcej imieniem niż rzeczą. Bolko, zwłaszcza w ostatnich czasach, wymykał mu się ze swoją drużyną i nie buntując jawnie nie słuchał go już wcale. Wojśław, żołnierz mężny, wojak wprawny, nieobrotny był, ciężki, myślał nad każdą rzeczą długo, badał pilnie, gdy Bolko chwycił porywczę, co wiatr przynosił i pod pierwszym wrażeniem leciał na oślep, nie

licząc się z żadnym niebezpieczeństwem ani z ofiarą, jaką czynił, choćby cel wart jej nie był. Wojśław, nim się namyślił, nim coś postanowił, wychowańca jego już nie było, a nie zawsze i dognać go potrafił. Śmiał się potem i dawał łatwo przebłagać miłemu chłopięciu, do którego tak był przywiązany, że dlań Sieciechowe pokrewieństwo i łaskę poświęcał.

Bolko, jeśli którego dnia na łowy nie ruszył, siadał na koń z Pruszyną, Doliwą, z innymi przybocznymi. Harcowali po podwórcach i na łąkach nad Wisłą, ścigając się, przeganiając, rzucając oszczepami do celu, strzelając z łuków i kuszy, spotykając się na tępe włócznie. Do tych zabaw królewicz miał namiętność szaloną. Chciał się mu kto przysłużyć i łaskę jego pozyskać to mu przynosił

wiadomość, gdzie niedźwiedź miał łożysko, gdzie na żubra lub tura stanąć było można. Za psy i ptaki oddawał, co tylko miał.

Zwożono mu zza granic, z Zachodu najpiękniejszy oręż, najwykwintniejsze zbroje i wszystko, co do porządku rycerskiego należało. Trafił się podróżny, co wiele po dworach bywał i kraje obce przewędrował, gościł go królewicz u siebie, zatrzymywał, nie puszczał, póki się od niego nie dopytał i nie nauczył wszystkiego, co mu nie znanym było. Nie było też w Niemczech, we Włoszech, u Franków i Galów żadnej rzeczy nowej w rycerstwie, której by dla niego nie przywieziono.

Palila się młoda głowa myślą wielką, aby z innym rycerstwem

chrześcijańskim iść razem na odzyskanie grobu Zbawiciela i ledwie go tym powstrzymać było można, iż pogan miał pod boki, od których

niebezpieczeństwo groziło i zwalczyć ich naprzód było potrzeba. Niejeden już raz Bolko padał do nóg ojcu, błagając go, aby mu choć ze stu rycerzami dobranymi iść dozwolił z królmi i książętymi chrześcijańskimi na odzyskanie Jerozolimy.

Ilekróć zadrgała ta sprawa święta na Zachodzie, Bolko się nią

rozgorączkowywał; ani wiek, ani kraju położenie puścić go na niepewne losy nie dozwalały. Sieciech wprawdzie niezbyt był temu przeciwnym, lecz opierającego się ojca nie śmiał namawiać.

Na małym dworze królewicza tylko o podobnych rycerskich dziełach

myślano i rozprawiano: o podboju Pomorców, o wojnie dla Krzyża Świętego, o zawojowaniu ziem nowych, ustaleniu granic, odzyskaniu krajów jednego języka, które Niemcy zagarnęli i obsadzali swoimi. Bolko miał wszystkie przymioty ówczesnego rycerza chrześcijańskiego: pobożność wielką, poszanowanie słabych, cześć dla starości, nieustraszone męstwo w boju i miłość wypraw, nęcących niepodobieństwami i niebezpieczeństwami. Rzucał się najzapalczywiej tam, gdzie coś nadzwyczajnego mógł dokazać, spełnić jakiś czyn bohaterski.

Cała ta garstka młodzieży, zowiąca się jego drużyną, do niego była podobną i naśladować go usiłowała. Tu ściśle przestrzegano, aby żadna z form rycerskich, z praw przyjętych na Zachodzie, zaniedbaną nie była; nie wyruszano w pole bez modlitwy i śpiewu, nie zabijano proszącego o

miłosierdzie, obraniano

bezbронnych. Nawet najdrobniejsze przepisy w trzymaniu włóczni, we wdziwaniu zbroi, w użyciu oręża ściśle były przestrzegane, z czego prości ludzie naśmiewali się trochę.

Nie dziw też, iż drużyna Bolka Zbigniewową wyśmiewała, sposób życia

starszego królewicza wyszydzała, z pogardą mówiąc o kleryku, o jego hałaśliwej gromadzie, o miłostkach z Niemką płochą i całym obchodzeniu się niezręcznym, a dumnym.

Królowa zdawała się o Greta's stosunkach ze Zbigniewem nie wiedzieć wcale, choć one nie były tajemnicą dla nikogo. Greta po trosze się z tym chwaliła, a królewicz też nie dbał o ludzi.

Bolko od dworu Judyty z dala się trzymał, albo się wcale u niej nie

pokazywał, lub milczący przychodził na rozkaz ojca, niedługo pobyl i wymykał się do swoich. Nie udało się macosze w ten sposób go opanować, jak ujęła Zbigniewa; Greta zawczasu próbowała go sobie pozyskać i została odepchniętą pogardliwie, inne też nie były szczęśliwsze. Nie miały dlań niewiasty uroku, a wychowanie męskie nauczyło go nimi pogardzać niemal jako istotami słabymi, którym poddanie się uwłacza rycerzowi. Matki nie znał Bolko, wychował się od dziecka na męskich rękach; macocha, której nikt nie szanował, wstręt w nim i obawę obudzała. Słyszał

o tym, jak na Zachodzie rycerstwo czciło piękne panie, którym wiekuiatą miłość poprzysięgało, lecz wyobrażał sobie niewiasty godne takiego przywiązania wcale innymi nad te, których dwór królowej był pełen.

Wszyscy już prześladowali Niemkę klerykiem, gdy jednego dnia w

przedsieni dworca Bolko, idąc do ojca, na drodze swej spotkał strojną Gretę.

Nie mógł i on się powstrzymać.

— E! Piękna Greto! — zawołał — zapomniałem ci powinszować

zwycięstwa. Słyszałem, upolowałaś dużego ptaka.

— Jakiego? Gdzie? — spytała, czerwieniąc się z gniewu, Niemka.

— Ludzie go zowią czasem królewiczem, drudzy klerykiem, a mnie kazano go bratem nazywać. Prawdaż to, piękna Greto?

Dziewczyna, nic nie odpowiadając, popatrzyła mu w oczy dumnie,

pozwalala mu się domyslać nawet, że miłości tej na zemstę użyć potrafi. Bolko po młodzieńczemu szydził.

— Piękny chłop — rzekł — ale piękna Greta warta była zgrabniejszego.

Nauczyłaś go tańcować i śpiewać? Do chóru w kościele, nie wątpię, że się przyda, ale do pieśni przy płasach chyba Wy go nałożyć potraficie.

Greta płonęła gniewem.

— Dużo innych rzeczy trzeba by go uczyć, piękna Greto — śmiał się

nielitościwy Bolko. — Nie wiem, jak sobie z niewiastą poczyna, ale z koniem niedobrze, z łukiem licho, z oszczepem niezdarnie.

Nie mogła już Niemka wytrzymać szyderstwa i z ust się jej wyrwało:

— Patrzcie tylko, aby ten niezgrabny człek kiedy się Wam nie dał we znaki!

— A! O to się nie frasujcie — odparł Bolko — ja się niedźwiedzi lękać nie zwykłem. Wiecie pewnie, boć to we dworze wszystkim wiadomo, że dawno temu ubił jednego właśnie, gdy się do samicy zalecał.

Grecie zdawać się mogło, że w Bolku zazdrość mówiła. Wesole chłopię

wcale o tym nie myślało, bo Niemka była dlań nie piękniejszą od innych.

— Tak, piękna Greto — dodał — uczcie go, a uczcie, bo dużo rzeczy nie umie i wiele się potrzebuje dowiedzieć, a lepszego ochmistrza nad Was nie znajdzie.



Rzuciła nań oczyma złymi Niemka, jak by mu grozić chciała. Bolko się uśmiechnął.

— Nie gniewaj się, piękna Greto — rzekł, zabierając się iść dalej. — Cały dwór prawi głośno, żeście mu obrożę nałożyli i na podwiązce go prowadzicie, nie godziło się, bym Wam nie wieszowałam! Gotowiście jeszcze królewicza poślubić i zostać mi bratową! Ho! ho!

Śmiech Bolka rozjątrzył do ostatka dziewczynę, z dala, zacisnąwszy pięść, spojrzała nań wyzywająca, łagodna jej twarzyczka zmieniła się nagle w głowę Meduzy, niebieskie oczy ściemniały, twarz zbladła, usta zadrgały, zęby się ścięły...

— Poznasz ty mnie i jego! — szepnęła odchodząc — poznasz! A ja ci te szyderstwa przypomnę.

I szybkim krokiem pobiegła na skargę do królowej.

VII

Na dworcu biskupim w Gnieźnie, w wielkiej izbie przyciemnionej jednego z tych dni zasiadała rada duchownych. Około wielkiego stołu, ciemnym okrytego kobiercem, na krzesłach obok sędziwego arcybiskupa Marcina widać było po prawej ręce Lamberta, krakowskiego biskupa, po lewej Dionizego, poznańskiego, dalej Paulina Ciołka, kruszwickiego i Filipa, płockiego. W pośrodku pomiędzy nimi stał krucyfiks srebrny, a przy nim leżała bogato oprawna księga Ewangelii.

Izba, wyglądająca jak klasztor, ciemna, smutna, nie miała innych ozdób nad miedziane naczynie do wody święconej, a w kątku dzban i miednicę podobną.

Zasiadali w niej biskupi sami, a narada ważną i trudną być musiała, gdyż po zagajeniu jej przez arcybiskupa długie panowało milczenie. Starzec oczekiwał

głosu jednego z braci, powiódł oczyma po milczących, a widząc, że nikt się ze słowem nie spieszy, ciągnął dalej powolnie i łagodnie:

— Przelanej krwi męczennika Stanisława winniśmy, bracia mili, iż wiara chrześcijańska i powaga nasza w kraju tym się utrzymała. Zwyciężyła prawda.

Chrystus Pan pogłębił nieprzyjacioły krzyża świętego, szatana i czeladź jego sprośną. Zachwiana maluczko władza nasza wróciła nam z czynszem i

przybytkiem. Z władzą tą odpowiedzialność też ciąży na ramionach naszych za wszystko, cokolwiek się dzieje i stanie. Dlatego wezwał was, ojcowie mili, abyście ze mną wraz myśleli i radzili o losach kraju tego, nad którymi zaprawdę czuwać potrzeba; bo nie ma, kto by się nim opiekował, oprócz miłosierdzia Bożego. Szatan nie śpi!

— Alboż zagraża mu niebezpieczeństwo jakie? — zapytał biskup Lambert.

— My o żadnym nie wiemy!

— A ja widzę je i sędzę wielkim — mówił arcybiskup powoli. — Myśmy tu nadzorcy i stróże, do kogóż, jeśli nie do nas, należy czuwanie? Króla mamy bez korony; dogorywa dobry, pobożny pan bez woli i siły. Sieciech pod nim kopie zasadzki, cesarska siostra trzyma z nim, opanować chcą królestwo to, aby je zaprzędali. Dopuścimyż, aby państwo poszło na ręce obce, a Kościół nasz pod zarząd magdeburskiej metropolii!?

— Król synów ma dwu — przerwał Dionizy poznański — nie grozi więc z

tej strony niebezpieczeństwo.

— Tak, lecz na obu ich Sieciech godzi, jawnym to jest — odezwał się ojciec Marcin. — Przy królu cień władzy, przy wojewodzie siła. Na grodach ma starostów ze swej ręki, w wojsku dowódców, którzy z nim trzymają, władza wszystkim, skarbami swymi sumienia kupuje. Królem chce być. Źle nam ze słabym, z tym gorzej będzie, przebiegły jest.

Milczenie długie przedzieliło pytanie to od nierychłej odpowiedzi biskupa Paulina.

— Przewielebny Ojciec — odezwał się, powolnie rzucając wyrazy, które

ważył ostrożnie. — Widzi mi się, że przede wszystkim patrzeć nam potrzeba, gdzie dla wiary, a dla powagi Rzymu pożytek. Ten czy ów panować będzie, nam o to idzie, aby był posłusznym Kościołowi, aby się krzewiła wiara, mnożyły dochody duchowieństwa, rosła przez nie chwała Boża.

— Tak jest — odezwał się Filip płocki — obojętna dla nas, kto panować będzie ze zrządzenia Bożego. Przyznaję, iż ja sam niedawno jeszcze obawy nie miałem od Sieciecha, dziś stawi mi się to inaczej. Jeżeli on zawładnie i opanuje kraj: zuchwały, silny, przebiegły, sam jeden na państwo wielkie, rycerz mocny i czujny, azali w nim nie mamy się obawiać drugiego Szczodrego, co zechce Kościołem rządzić, zamiast mu ulegać? Zaprawdę dla nas korzystniejszym jest, aby było kilku panów, z władzą i siłą mniejszą, bo ci się łatwiej powodować dadzą i oni nas, nie my ich, potrzebować będziemy. My, pasterze, zawsze z sobą zgodni i jedni, w pomoc sobie przychodzić będziemy, oni w rozterkach do nas się uciekać będą musieli. Nie o moc nam idzie, ani o pychę panowania, ale o Kościół i wiarę.

Kraj choćby podzielonym był, jeżeli połączenia ku obronie zapotrzebuje, przez nas je otrzyma; niech mu panuje jeden arcybiskup z biskupy miasto króla. Lepiej będzie.

— Kościołowi nie zagraża nic — począł Lambert krakowski. — Dzięki krwi męczennika naszego, nikt już, się władzy jego opierać nie odważy. Spróbowali, jak ciężką jest kara jego, jak straszny miecz mściwy, jak wielka potęga ogarniająca świat. Szukajmy, co dla kraju lepsze, o los Kościoła, zaprawdę, spokojni być możemy, bracia mili.

— Ale przymnożyć mu bezpieczeństwa i oprzeć je na mocniejszych

podstawach — odezwał się Filip — nigdy zbyt czynnym nie jest. Nie padnie Kościół

na opoce zbudowany ani przemogą go piekielne siły, lecz oszczędzić mu dni ciężkich, gdy w mocy naszej, należy. Nie sobie ani dla siebie, staramy się dla matki naszej. *Non nobis, non nobis, sed nomini Tuo da gloriam.*

Spojrżeli po sobie biskupi, arcybiskup milczał z głową spuszczoną, rękę na Ewangelię złożywszy.

— Bracia mili — począł znowu — powtarzam, com rzekł: Król słabym jest, Sieciech dla królestwa i dla nas strasznym. Nie utrzyma się on bez cesarza, a panowanie cesarskie Kościołowi odejmie siłę, przeniesie ją gdzie indziej. Czynić potrzeba, co można, aby spadek po królu dzieciom jego pozostał. Cóż byście rzekli, gdyby Władysław zawczasu chciał państwo między synów swych podzielić, sobie pozostawując Płock, który pokochał i w którym chce dokonać żywota?

Spojrzał po słuchających arcybiskup, badając wrażenie, jakie słowa jego wywierały, i mówił dalej:

— Zeznał mi król, iż za żywota uczynić to pragnie. Sieciech niewątpliwie stanie na przeszkodzie przeciw myśli zbawiennej, my pomocą jej być powinniśmy.

Jak sądzicie, bracia najmilsi?

Biskupi milczeli, rzecz to dla nich była nowa, którą każdy chciał rozważyć, nimby wyrzekł, co o niej myśli.

— Sam król Wam to zwierzył? — zapytał biskup Lambert.

— Tak jest, mam to z ust jego — rzekł arcybiskup. — Radziłem, aby wiec zwołał, duchowną i świecką swą radę i starszyznę. Kto wie, czy będzie śmiały i mógł to uczynić, jeżeli my mu w pomoc nie przyjdziemy. Mamy li posiłkować? —

Mówcie.

— Zaprawdę, zaprawdę — odezwał się Filip pierwszy — powinniśmy.

— Dla mnie — począł Paulin kruszwicki — wątpliwa jeszcze, czyli podział

na dwu nie jest wojny nasieniem. Widziałem pod Kruszwicą leżącego Zbigniewa, nie sędzę go panowania godnym, bo do niego jest niezdolnym, dumnym i chciwym władzy, umysłu płytkiego. Ambicja w nim wielka przy słabości i małej odwadze.

Zaburzy kraj.

— Ja, którym się przyczynił do uwolnienia Zbigniewa — odezwał się

arcybiskup — lepiej o nim trzymam. Człek się z niego wyrobić, powinien, a widzę w nim, czego i rycerski Bolko nie ma, naukę. Czyta pismo, rozumie słowo Boże, dzieckiem klasztornym jest.

— Ojciec mój — wtrącił żywo Paulin — nie znam gorszych nieprzyjaciół, jeżeli nie Kościoła, to duchowieństwa, nad tych, co się z murów klasztoru wyrwali.

Boją się go. Przykład mieliśmy w Czechach. Wolę pobożnego rycerza niż wywłokę, co zbiegł spod klauzury, powtórzę, boję się go. Pismo znając, obracać je będzie krzywo na usprawiedliwienie swoje... Bez nauki Bolko nas potrzebować dla niej musi. Ów, niedouczony, pomiatać zechce nami.

— Surowi dłań jesteście — odezwał się arcybiskup. — Zbigniew miał

prawa, bo choć małżeństwo, z którego się rodził, przez Kościół pobłogosławione nie było, naówczas i po dziś dzień małżeństw jest takich wiele. Przejdźcie kraj, policzcie, ile podobnych w nim. Wszak ci dopiero wdrażać poczynamy do tego lud chrześcijański tutejszy, aby się starym obyczajem nie brał i nie rzucał samowolnie, jak bydło. Władysław ową Hannę za żonę miał, Zbigniew prawym synem jest i ma pierworodztwo.

— Temu nie przeczę — rzekł Paulin — boleję tylko, że miasto jednego dwu ich jest.

— Lecz dla nas lepszym, choćby i dziesięciu ich było — odezwał się

Lambert — albo tylu, ilu nas jest. Stałby przy każdym pasterz na straży. Siły zbyt wielkiej w jednym ręku dopuszczać nie możemy, by się nie stało, co z cesarzem, co ze Szczodrym. Oni, jak skoro moc poczują, panować nam chcą, a tego się cierpieć nie godzi. Kościół wiódł i kierował od czasów Konstantyna po dni dzisiejsze, bo w nim było światło, musi też ponad korony i berła doczesne stać i z ręką wodzów nie puszczać. Cesarze niemieccy, gdy zawojowali kraje wielkie, wnet przeciwko władzy Kościoła wystąpili, chcąc go sobie uczynić podwładnym.

— My się tu już wcale pokus podobnych obawiać nie możemy — dodał

arcybiskup — górą stoimy i nie przestaniemy stać. Przeciw Kościołowi nie wystąpi nikt, Kościół trzyma, Kościół panuje, Kościół rządzi; król niczym innym nie jest, jak z Rzymu namaszczonego pełnomocnikiem i ręką jego. Pierwszym sługą.

Umilkli drudzy, nie poczynał nikt.

— Niechaj więc ten podział kraju przyjdzie do skutku — odezwał się

arcybiskup. — Zapobieży on uzurpacji Sieciechowej. Przyczynmy się wszyscy do dzieła tego. Zwołajmy po diecezjach naszych przedniejszych ziemian, władyków i żupanów, włóżmy na sumienie ich, aby w tym królowi byli pomocni. Macieli co przeciwko temu?

Zatoczył wzrokiem arcybiskup, spoglądając po milczącej braci. Nie odzywał

się nikt, nikt przeczyć nie śmiał.

— Co z tego podziału wyniknąć może — rzekł Lambert po chwili —

przeniknąć trudno. Jeden z nich zechceci drugiemu być podległym? Rozłamię sieli państwo i osłabnie, zwłaszcza jeżeli nierycerskiego ducha Zbigniew prawem starszeństwa zapanuje?

— Czuwać będziemy — odparł Paulin — tym lepiej dla nas, iż obejść się bez pasterzy swych nie będą mogli.

— Sieciech nad wszystko niebezpieczniejszy — dodał ojciec Marcin.

Nie było już sporu.

— Niech się więc stanie po myśli króla i wedle jego natchnienia, jakie mu Bóg zesłał — rzekł Lambert.

Nie spierano się z sędziwą głową Kościoła, choć może zdania były niejedne, a Sieciech i tu mógł mieć utajonych sprzymierzeńców. Ale ci mówić za nim nie śmieli. Groźba podległości i zależności od cesarstwa i Magdeburga starczyła na powstrzymanie zdań przeciwnych.

— Uczynić więc należy przygotowania do wiecu — zakończył arcybiskup

— a wykonać je zawczasu, ażeby Sieciech nas nie ubiegł, który chceć go nie może. Przeciwno niemu

jedni my tylko skutecznie wystąpić możemy. Usłuchają nas ziemianie i królowi w pomoc przyjdą.

Zatem rozpoczęła się narada nad środkami wykonania i przeciągnęła długo, aż obmyślane i postanowione zostały. Wstał nareszcie sędziwy starzec i, jak przed tą paradą wiódł do kościoła dla odśpiewania hymnu do Ducha Świętego, tak po niej poprowadził duchowieństwo do katedry, gdzie dziękczynny hymn zanucono.

Nie był nowością zjazd biskupów ani mógł jakąkolwiek wzbudzać obawę i podejrzenie; w sprawach Kościoła powoływał często arcybiskup innych pasterzy dla narady, a świecka władza ani śmiała, ani mogła mieszać się do kościelnych zborów. Mogli więc bezpiecznie biskupi przedsiębrać środki, jakie się im zdały właściwe, nie doznając żadnej przeszkody. W tej chwili właśnie, po upadku Szczodrego, po klątwie i interdykcie, potęga duchowieństwa była największą, a władza świecka mierzyć się z nią nie ważyła. W istocie Kościół panował nad krajem.

Wieczór spędziwszy na wspólnej modlitwie i rozmowie z arcypasterzem,

nazajutrz już powracali do stolic swoich. Wprost z katedry rozjechali się biskupi.

Każdy z nich od kościoła do kościoła jechał, od klasztoru do klasztoru, stawał u proboszczów, a zdążywszy do granic swej diecezji, zbaczał do znaczniejszych dworów lub zwoływał ziemian do dziekanów, aby im objawić, co czynić mieli.

Opierać się woli biskupiej nikt nie mógł; pamięć strasznych skutków klątwy i wyłączenia ze społeczeństwa chrześcijańskiego była wszystkim jeszcze przytomna.

Królowi prędzej ważyłby się kto nieposłusznym okazać niż temu, co go za życia mógł uczynić obcym, nawet rodzinie, a po skonie odmówić mu pogrzebu na poświęconej ziemi. Legenda o Szczodrym, krwawy dramat, po którym ledwie oschły łzy i zatarły się ślady, napełniał trwogą umysły. Król wygnany, zmarły bez wieści, w szaleństwie czy pokucie; dziecię jego wśród wesela zgładzone niewidzialną ręką, w której przeczuwano prawicę Bożą, stały przed oczyma wszystkich.

Pasterze, powróciwszy z Gniezna, natychmiast rozpoczęli o wiec starania, sami lub przez podwładne sobie duchowieństwo. I stało się, że wkrótce potem po wszystkich krajach ruszyli się ziemianie, włądyki, żupanowie, starszyzna, zbierając na ów wiec, zwołany potajemnie. Nawet ci, co Sieciechowi sprzyjali, zmuszeni byli jechać z innymi i stawić się nań, aby postąpić potem, jak im będzie rozkazano.

Nadzwyczajne te przygotowania nie mogły ujść baczności Sieciecha.

Wojewoda, który czynnie około własnej sprawy chodził i zamki objeżdżał, znajdował się właśnie na jednym z grodów, trzymanyh przezeń z łaski króla (choć wszystkie one prawie były w jego rękach), gdy nadbieżał do niego jeden z najwierniejszych sług, Strzepa, nocą już domagając się pilno, aby go do wojewody natychmiast wpuszczono. Zdawało mu się, że on pierwszy przywiezie Sieciechowi wiadomość o znowie duchowieństwa i ziemian przeciw niemu.

Wojewoda, widząc wbiegającego do izby, w której siedział jeszcze na

naradzie ze starostą i wojskową starszyzną, Strzepę kurzem okrytego, w hełmie, z twarzą przelekką i oczyma zaognionymi, zmierzył go wzrokiem niemal szyderskim.

— Za pilną sprawą jadę, goniąc za Miłością Waszą — wykrzyknął przybyły, hełm zdejmując i z potu ocierając skronie — za sprawą pilną bardzo.

— Bóg zapłać — odpowiedział z półuśmiechem wojewoda. — Siadaj na

ławie, spocznij, tchu nabierz. Za dobrą wolę Waszą wdzięczny jestem, choć nie wiem, z czym przybywacie. Bodaj jednak, czy wielka i pilna nowina, która Was tu pędziła, wprzód niż Wy nie dobiegła do mnie.

Zdziwił się i zmieszał smutnie Strzepa.

— Wiedzieliżbyście już o wiecu, Miłościwy Panie — zawołał — a możeż to być?

Wojewoda dał mu znak głową potwierdzający.

— Wiem o nim, ani się frasuję zbytnio — rzekł. — Pracują nieprzyjaciele moi i ja nie śpię. Niech wiecują, radzą, niechaj dzielą, jako chcą, nic to nie pomoże.

Silniejsi przez to nade mnie nie będą. Wiec jest sprawą arcybiskupa Marcina, z którym do jawnej walki występować nie mogę. Obróci się ich własna robota przeciwko nim.

— Tak mówicie — odezwał się zdumiony Strzepa.

— Mówię tak i spokojnie na to poglądam — ciągnął dalej Sieciech. — Dwu czy dziesięciu ich stanie, w zgodzie z sobą nie będą. Nie lękam się tego. Młokosom podolać łatwym będzie. Król przy sobie zwierzchnią zatrzyma władzę.

— Na wiecu ozwą się przeciw Wam głosy nieprzyjaciół! — zawołał Strzepa.

— Przeciw mnie jedne, za mną drugie — rzekł wojewoda. — Król, który z arcybiskupem się naradzał, który mi sprzyja, którego w rękach mam, nie powiedział mi nic. Znam go i sędzę z milczenia, że krzywdy uczynić mi nie da.

Gdyby gniew miał a niewiarę, wydałby się z nią. Królewicze oba pode mną zostaną. Nie lękam się ich, bo wprzód nim walkę z Sieciechem, rozpoczną z sobą.

Szydersko rozśmiał się, wojewoda zamilkł nagle, jak gdyby kończyć nie chciał. Dopiero odprawivszy tych, co z nim siedzieli, wrócił do oczekującego Strzepy.

— Nie lękajcie się — rzekł — ani o mnie, ni o siebie. Z dwu słabych nikt jednego mocnego nie sklei. Pójdą na wojnę w pułkach tysiącznicy moi, sotnicy także, po zamkach ludzie z mej ręki, powinowaci i druhowie; co oni z tą garścią poczną, którą koło siebie mają? Nie dadzą im uczynić nic, tylko co ja zechcę i pozwolę. Królewicze w moich palcach będą siekierą i dłutem, ani się spodzieją, jak pokieruję nimi. Gdy zechcę, spuszczę ich na siebie, aby się gryźli, gdy zażadam, pójdą, gdzie wskażę,

i myśleć będą, że idą po własnej woli. Nie lękajcie się o mnie, powtarzam wam.

Strzepa, człek bojaźliwy, ostrożny, a przy tym gorący, nie miał zimnej krwi i zaufania w sobie Sieciecha; słuchał, ale widać było po nim, że tej wiary w bezpieczną przyszłość nie podzielał.

— Pewna to, że Wasza Miłość dobrze wiecie, co czynicie — rzekł

wzdychając — ale zbyt ufać ludziom i bezpiecznym się czuć, niedobrze. Bolko ma wielką miłość u rycerstwa, u dworu, między ziemiany. Zbigniew, powiadają, wymowny, przebiegły i przewrotny.

Wojewoda wzgardliwą przybrał postawę.

— Zbigniew chciwy wszystkiego, a do niczego niezdolny — rzekł — rycerz z niego nie będzie, a u nas, kto nie wojak, tym pogardzą. Bolko go nie lubi i złamie.

— A Bolka kto? — odezwał się Strzepa. — Z tym trudniej!

Sieciech długo nie mówił nic, na ostatek wyrwało mu się:

— On sam; gdyby go wierna drużyna nie trzymała na wodzy, dawno by już oszczep Pomorca albo kły dzika przecięły te rycerskie zapędy. Zbyt zuchwały jest, sam się zgubi.

Strzepa się nie sprzeciwiał i zamilkł. Wojewoda począł się po izbie

przechadzać. Zwrócił się ku niemu:

— Cóż o wiecu prawią?

— Gotują się doń wszyscy, a najgoręcej nieprzyjaciele Wasi. Z tych, co Wam są wierni, dużo jechać nie chce, aby przeciwko arcybiskupowi nie stawać i Wam się nie sprzeniewierzyć. Starego się obawiają.

— Moim dawajcie znać owszem, aby się stawili wszyscy — odparł Sieciech

— i mężnie stali przy mnie. Gdy ich nie stanie, sam jeden będę.

Po tej rozmowie Strzepa, ledwie spoczawszy, ruszył znowu. Gońców

rozesłano na wszystkie strony z hasłem nowym. Gdy duchowieństwo od siebie nagliło o zbór liczny, z drugiego Sieciech przykazywał się stawić, ruszało się, co żyło. Dawno już nie pamiętano takiego ruchu i gromad a pocztów na gościńcach; niektórzy, co od lat wielu z lasów się na świat nie pokazywali, wyciągnęli do Płocka. Tu się już sposobiono na przyjęcie, choć nikt nie mówił o nim, a król zdawał się nie chcieć wiedzieć o niczym. Królowa, uwiadomiona przez Sieciecha, niepokoiła się mocno, ufając tylko zręczności wojewody, że potrafi te zamachy odeprzeć; Zbigniew miał wiadomość od arcybiskupa i czekał, nie odjeżdżając z Płocka; Bolkowi ojciec zakazał się na dłuższy czas oddalać, aby na zawołanie był

pod ręką. Niepokój był w powietrzu, a najbardziej dolegał choremu królowi, dla którego oczekiwanie stawało się nieznośną męczarnią.

Jesienny dzień wrześnieowy potajemnie na zjazd byłznaczony, pogoda mu sprzyjała, a pożądaną była wszystkim, gdyż mnogich i licznych pocztów ani zamek, ani miasteczko pomieścić nie mogło. Gospody dla duchownych panów były u biskupa i na zamku w klasztoru benedyktynów; panowie świeccy obozem się musieli kłaść na dolinie, namioty rozbijać i w nich z dworami swymi mieścić. Na podzamcze już kilka dni przed zjazdem ciągnęły wozy, konie powodne, czeladzie, parobcy, którzy place zajmowali, koły bili, żłoby stawili, namioty rozkładali i dla panów swych co najlepsze starali się dostać stanowisko. Roilo się pod grodem, roilo się po gościńcach, w uliczkach, na targowicy, dokoła mieściny, u studzien, nad rzeką, po łąkach.

Z okien zamku mógł te przygotowania widzieć król i królowa, a nikt się o nich odzywać nie śmiał. Na ostatek w wigilię dnia świętego Wawrzyńca niektórzy z dalszych stron, od Krakowa, Sandomierza, Wrocławia, co się najbardziej opóźnić lękali, ściągać zaczęli.

Napatrzeć się było można pocztów różnych, zbroi wszelakiej i rynsztunku, bo nie wszyscy się jednako zbroili i chadzali. Od granic niemieckich, znad Łaby wtargał obyczaj zachodni; władcy Niemcom byli szczególnie zbroją podobni, którą sobie stamtąd dostawali, z Saksonii, od Franków i z dalszych krajów. Szląsk ciągle też miał stosunki z Czechami i Niemcami razem, toteż obojga języka i odzieży pełno było. Przeciągały przez Polskę karawany kupieckie z Rusi, wioząc z sobą wszelaką kupię ze Wschodu, której wiele tu pozostawało.

Od Bolesława Wielkiego sławiła się ziemia Polan dostatkami wielkimi,

obfitością wszystkiego, tak że mnich, który czyny Bolesława Krzywoustego opiewał, sławił pod te czasy jej: „powietrze zdrowe, ziemię żyzną, lasy miodorodne, wody rybopłodne, rycerzy mężnych, wieśniaków pracowitych, konie wytrwałe, woły oracze, krowy mleczne, owce wełniste*.

Ten dostatek ziemi widać na jej synach było, a choć świetności cesarskich dworów nie znalazł tu obcy człek, ziemianie Władysławowi nie ustępowali zamożnością i okazałością pocztów panom na Zachodzie. Inaczej tylko ona się przedstawiała. Wiódł każdy z sobą po sto, po kilkadziesiąt koni dla bezpieczeństwa i wystawy, ciągnęły się wozy ładowne i obfite zasoby wszystkiego, co do życia było potrzebnym. Po drodze zaciążyć osadom i szukać przeżywienia nikt nie chciał

ani też wszędzie dostać było można żywności. Dla koni i sobie musiano wozić strawę. Każdy orszak zwiększał się tym jeszcze. Jeden władyka ciągnął za sobą czeladzi i ciurów gromadę.

Z wieczora już szare i pasiaste namioty gęsto się rozsiadały na łące, a około nich ogniska zapalać zaczęły. Rżały konie i psy, które każdy prowadził z sobą, ujadały, wyzywając się.

Stawali ziemianie każdej części odrębnie przy sobie, tak że którzy od Krakowa szli społem, namioty rozbijali, Sandomierzanie przy sobie, Szlązacy, Mazury i Polanie, każdy obozem swoim. Opola też do jednego grodu należące łączyły się do kupy. Niektórzy ludzie rycerscy obyczajem zachodnim u namiotów na wysokich żerdziach chorągiewki i znamiona wywieszali.

Sieciech, nie spiesząc wprzód, umyślnie dopiero tego wieczora nadciągnął i jak gdyby chciał potęgę swą a moc okazać, wystąpił z poczem ludzi półtorej seciny liczącym pod chorągwią własną, z rogami, trębaczami, w jedne barwę przybrawszy cały swój orszak, wśród którego on na koniu dzielnym, w kołpaku z piórem, w pasie rycerskim, z łańcuchem złotym na szyi, w płaszczu książęcym jechał rażno i wesoło, a dla okazania też, że on tu gospodarzem, nie gościem, na łakę nie pociągnął z drugimi ani gospody szukał, ale wprost na zamek się obrócił,

* Gallus

trąbić rozkazując i jakby uroczysty wjazd odprawując w oczach wszystkich.

Czeladzie i władcy, którzy już byli w obozie, zbiegli się patrzeć na to widowisko, ustawując kupami po obu stronach drogi.

W nieprzyjaciołach Sieciecha to wyzywanie i jakby naigrawanie się z nich wywoływało gniewy i oburzenie; druhowie milczeli ciesząc się, iż swojego pewnym być musiał, gdy tak wspaniale występował bez żadnej obawy.

Wojewoda z konia zsiadłszy dopiero przed królewskim dworcem, naprzód

do pana szedł z czołobitnością należną, chociaż wiedział, że go nie zastanie samym, bo mu po drodze oznajmiono, iż arcybiskup, kilku duchownych i

świeckich panów już go poprzedzili.

Gdy wojewoda w progu się ukazał, król wobec wszystkich wstał i przeciw niemu poszedł kilka kroków, a objąwszy go rękami, z czułością wielką powitał, aby jawnie okazał, że serca jego i łaski nie utracił. Z trwogą podniósł ku niemu oczy, lękając się gniewu, lecz Sieciech nadto przebiegłym był, ażeby się z nim wydał przy świadkach. Owszem, licem wesołym króla i przytomnych powitał, jak gdyby okazać chciał, że go niesłusznie oskarżano.

Arcybiskup, nie czekając, natychmiast objawił głośno, z czym przybywali duchowni i świeccy panowie i czego wspólnie z królem życzyli. Wolał zaraz opór złamać i postąpić otwarcie.

Wojewoda nie wydał się z tym, co myślał, wysłuchał wniosku, a gdy się doń zewsząd zwracano, rzekł spokojnie:

— Jeżeli Najmiłościwszy Pan nasz a ojcowie duchowni wspólnie z panami

ziemiany widzą, iż dla uspokojenia i ładu w królestwie tym potrzebny jest podział

zawczesny, a czemuż by się zadość woli pana naszego i ziemian stać nie miało? —

Dodał, iż dobrym to nawet znajdował, że król za żywota przekonać się mógł, jak się synowie jego do rządów brać będą, ciesząc ich walecznością i rozumem.

Po tym przemówieniu Sieciecha, który się niczemu nie przeciwiał,

duchownym i świeckim panom nie pozostało już nazajutrz nic, tylko uroczyście dokonać, co postanowiono.

Król, słuchając Sieciecha, radował się niewypowiedzianie, a gdy ten mówić dokończył, wstał go uściskać, odzywając się, iż na jego opiekę i pomoc dla dzieci najwięcej rachuje.

— Ten to jest — odezwał się, wskazując na wojewodę biskupom i

wszystkim przytomnym — ten jest, któremu winien królestwa utrzymanie i bezpieczeństwo; ten jest, który nim za mnie rządził, obraniał je, z bogacił i dał mu zakwitnąć; ten jest, któremu zawdzięczam pokój dni moich, sam nieudolnym będąc i schorzałym. A jako się mną opiekował, tak mam nadzieję, że synów moich z ojcowską pieczołowitością strzec nie przestanie.

Arcybiskup Marcin nie mógł podziwienia swojego ukryć, widząc Sieciecha tak na wszystko gotowym, gdy opór się w nim znaleźć spodziewał, spojrział nań niedowierzająco i rzekł z powagą kapłańską:

— Bogu niech będą Najwyższemu dzięki, iż jesteśmy wszyscy zgodni, a jedno
dobrym widzimy.

U królowej wieczorem dawnym obyczajem stoły były zastawione dla

wszystkich, którzykolwiek przybyć chcieli. Czeladzi ucztę na podwórcach zgotowano, beczki powytaczano, ustawiono kadzie i cebry; chleby, sery, mięsiwa zalegały ogromne pomosty, tak aby nikt nie odszedł głodny.

Zbigniew wśród tłumu przybywających kręcił się czynny, chcąc sobie u

ludzi zaskarbić łaskę, wymową łatwą i słowa dobrymi ujmując ich sobie.

Bolko na przekorę jemu dnia tego wyruszył w pobliskie lasy na łowy, jak by się wcale nie troszczył o to, co się gotowało, nie zdając dbać, jak ludzie o nim trzymać zechcą, albo nadto ich będąc pewnym. Późno wieczorem, gdy już na obozowisku do snu się zabierano, przeciągnął gościńcem orszak jego wesoły, z psy i sokołami, czwałem, objuczony zwierzyną, nucąc śpiew głośny, który się wśród cichej nocy dziwnie rozlegał.

Powybiegali z namiotów ludzie wiedząc, kto pędził, bo go niektórzy poznali, a chcąc przypatrzeć temu, co im miał wkrótce panować. Jednego widzieli już i słyszeli, drugiego dopiero teraz zobaczyli, jak się im mignął przed oczyma. Ten ze swą rycerską butą i młodzieńczym weselem lepiej im do serca przypadł.

Na widok młodego chłopaka z rozwianymi włosy, z podniesioną głową, ręką w bok, pędzącego na koniu dzielnie, lica się im rozśmiały. Starym Szczodrego przypomnieli, którego gdy nie stało, wielu po nim wzdychało. Choć po nim krwawe wspomnienia w pamięci były, wielu z tych, co z nim wojowali na Węgrzech i na Rusi, miłowali go jako rycerza, a ludu prostego, choć mówić nie śmiał, powszechne było mniemanie, iż za swą miłość do ubogich możni go zgubili.

Ludzie rycerscy, co za króla Władysława najczęściej nie z nim, ale z

Sieciechem chodzić musieli na wyprawy, radzi byli dostać króla mężnego za wodza, a pozbyć się dumnego wojewody.

O Zbigniewie już wiadano, że rozumnym był, ale do włóczni, konia i oręza niezdarnym. Wojsław, ochmistrz pański, na spotkanie Bolka wyszedł kwaśny, pomrukując.

— Drudzy tu sobie między ziemiany jednają ludzi, a Wasza Miłość w lesie— rzekł do zsiadającego.

— Bo ja na słowa ludzi nie łowię, a wolę się na wojnie z nimi serca dorabiać! — zawołał Bolko i rozśmiał się wesoło.

VIII

Dzień zrazu wstał mglisty, lecz wnet srebrna owa zasłona, owe wilgotne rąbki, w które był owity, opadać zaczęły i słońce podniosło się jasne, wesołe, jakby radując widowisku, które miało przed sobą.

Jak świt, wszyscy poczęli przyodziewać najpiękniejsze zbroje, najkraśniejsze szaty; kładł na siebie każdy, co miał najlepszego, czeladź występowała strojna, a od obozu na podzamczu do grodu na wyżyńie dochodziło mruczenie wesołe jakby roju pszczół, co w ulu gospodarował.

Aż zabrzmiał kościelny dzwonek, wołając do Boga przed ołtarz po

błogosławieństwo. Choć niewielka naówczas katedra płocka i trzeciej części zgromadzonych nie mogła pomieścić, szli wszyscy, aby naprzeciw drzwi

stanąwszy, choć z dala nabożeństwa słuchać.

I król też chory, przez dwóch podkomorzych wiedziony, co dawno nie

bywało, w odświętnych szatach szedł do kościoła z twarzą wychudłą i bladą, ręką drżącą śląc pozdrowienia tym, co się zbiegali przypatrzeć mu i pokłonić. Po drodze parę razy stanął, przemawiając do wojewodów i władyków po słów kilka, ale na dłuższą mowę tchu mu nie stawało. Poruszony był wielce.

Za nim szła w orszaku okazałym dworzan swoich królowa z córkami, z

niewiasty swoimi, w przepychu wielkim, którym się lubiła pysznić, w sukni złocistej, w łańcuchach i pasie sadzonym, głowę unosząc dumnie, jak by mówić chciała: Krwi jestem cesarskiej! Patrzała z góry na kłaniających się ziemian, co najmłodszym tylko uśmiechając.

Za nią szedł wojewoda wielki Sieciech we zbroi złoconej, sukni szkarłatem podbitej, co wielu złośliwych oczy zwracało. Witał on pogodnym czołem przyjaciół swych, innych widzieć nie chcąc.

Dalej ciągnął Zbigniew, który też wspaniale się przyodział a cudacko, ogromnymi pióry ozdobiwszy kołpak i miecz sobie przywiesiwszy, który mu zawadzał. Czatował on zawczasu na pochód, aby ubiec Bolka i zająć pierwsze miejsce swe, które starszemu należało, obawiał się bowiem, aby młodszy go nie uprzedził. Ten o tym nie myślał, stanął za Zbigniewem z wesołą twarzą, we zbroi lśniącej, po rycersku przybrany, piękny, pewien siebie i nie dbający o to, jakie mu się miejsce dostało. Młodziuchne, ogorzałe lice patrzyło wesoło, trochę dumnie, lecz dobrotliwie zarazem. Wszyscy za nim wiedli oczyma.

Gdy król, którego biskup Filip z krzyżem i wodą święconą u drzwi

kościelnych przyjmował, wszedł na przygotowane dla siebie siedzenie, obok którego królowa niższy tron zasiadła, gdy Zbigniew i Bolko stanęli po prawej i lewej ręce ojca, a wojewoda wielki za nim jakby na straży, dalej dokoła dwór i co najprzedniejsza starszyzna, arcybiskup Marcin wyszedł w

kapie naprzód pieśń do Ducha Świętego zanucić, która mszę poprzedziła. Sam on też tego dnia w asystencji dwóch pasterzy, krakowskiego i poznańskiego, ofiarę świętą odprawiał, w czasie której królowi niesiono do pocałowania Ewangelię, a rycerstwo mieczów dobyło wedle obyczaju, który niedawno wprowadzony był w polskim kościele.

Zatem po mszy świętej pieśń jeszcze zanucono i psalm, a po

błogosławieństwie pacyfikałem król, królowa, królewicze w tym samym porządku, jak szli, na gród wracali.— Nie przyjmowano u stołów na zamku rano, aby czasu nie tracić, każdy wprzód u siebie zjadł, co miał, i wprost do wielkiej izby radnej gromadzić się poczęto, której drzwi stały otworem, bo się w niej, w sieni i podsieniach ledwie mogła starszyzna pomieścić.

Izba ta była tak skromna i niepoczesna, jak wszystkie w owych czasach. Na ten dzień tylko zielonością ją posypano i gałęzmi przy ścianach przybrano.

Dla króla tron suknem czerwonym obity stał w głębi, a obok niego także sam, nie ustępujący mu wielkością dla arcybiskupa gnieźnieńskiego, który z królem dzielił władzę. Szeregiem za nim zasiadali inni biskupi, od krakowskiego poczynając z jednej strony, z drugiej, za królem, świeccy panowie, na których czele Sieciech się mieścił.

U stopni tronu królewskiego Zbigniew i Bolko stali, rzucając na się skośne wejrzenia. Na nich wszystkie oczy były zwrócone. Młodszy, ulubieniec ojcowski, tak jak zawsze miał serca za sobą, powierzchowność sama mówiła za nim; dumna i wstręt obudzająca postawa niezgrabnego Zbigniewa raziła ziemian. Szeptano, przypatrując się, to i owo. Starszy syn królewski władyków nabawił strachem.

Patrzył dziko, uśmiechał się złośliwie. Nie wróżono po nim nic dobrego.

Niezgrabna owa postać, jaką miał w klasztorze pod ciasną sutanną, strojem rycerskim zmienić się nie dała. Zbroja na nim leżała jak pożyczana, trzymał się nieco przygarbiony, włos odrostły spadał mu kosmykami prostymi jak przylepiony na ramiona; blada i nalana twarz miała wyraz chytry i fałszywy. Na Bolku suknie i blachy były jak ulane, włos obfity w pierścieniach ciemnych wił się na ramionach, lice otwarte, jasne, pałało ogniem i świeciło weselem.

Oba jeszcze nie mieli rycerskich pasów, tylko proste do mieczów przepaski.

Ziemianie spoglądając mówili sobie, że jeden się do zbroi rodził, drugiemu lepiej księża suknia by przystała i cicho dawano mu klechy przezwisko.

Młodsze duchowieństwo także by się doń nie bardzo chętnie przyznało, bo na twarzy rysów grubych, ust oddętych, wykrzywionej namiętnie, niespokojnie się poruszającej, więcej namiętności było niż łagodności i pokory.

Na króla patrząc, którego dwu komorników pod ręce wwiodło i usadowiło, litość brała, tak blady był i drżący, a ręce mu dygotały niespokojnie, gdy na sobie kozuch poprawiał. Oczyma potem powiódł po gromadzie swej, uśmiechając się i zdając się prosić, aby mu miłość wyświadczone.

Głębokie milczenie panowało w izbie natłoczonej, w której tylko

najprzedniejsi miejsca zajęli i wiekiem najstarsi. Dalej poza nimi cisnęła się młodzież i domownicy niektórzy, a ze drzwi bocznych wyglądały jedna nad drugą ciekawe głowy dworu królowej.

Rozpoczął arcybiskup modlitwę łacińską, wzywając błogosławieństwa

Bożego, przeżegnał i wszyscy przeżegnali się, schylając głowy. Nastąpiło milczenie.

Król mówić miał, ale mu spalone usta odmawiały posłuszeństwa i kubek z wodą zaprawną podać musiano dla orzeźwienia.

Zwrócił się naprzód ku duchownym.

— Ojcowie Miłościwi — począł głosem cichym — ziemianie i władcy mili, mówcie, z czym do mnie przybywacie, abym Waszej prośbie uczynił zadość, jeśli mogę.

Arcybiskup skłonił głowę.

— Miłościwy Królu — orzekł głosem pewnym i śmiałym — przyszedliśmy do

ciebie, aby schorzałemu pociechę i ulgę przynieść, a spokój na najdłuższe lata.

Ażebyś o ziemie swe nie trwożył się ani o przyszłe losy, azali nie byłoby dobrym spadkiem zawczasu synom wyznaczyć; sporom zapobiegając, sobie pozostawiwszy ziemie i grody, jakie się zda Miłości Waszej, na młodych zdać czuwanie. Nie dla czego innego pragniemy tego, tylko abyś na duszy był spokojnym, siły mógł za przyczyną patronów naszych i orędowników odzyskać, a żyć nam jak najdłużej.

Modlić się będziemy wszyscy do Boga, do Matki Jego, Orędowniczki naszej, do świętych Wojciecha, Wacława i miłego patrona Waszego Idziego świętego.

Szmer potakujący duchowieństwa wtórował arcybiskupowi. Skłonili głowy biskupi wszyscy, wielu ziemian podniosło ręce pochwalając zgodnie, król pochylił

głowę i rzekł nieco ośmielonym głosem:

— Dobrym mi się widzi, co mówicie, Ojczy mój, ja też tak myślę i pragnę tego. Mówcie, radźcie w imię Boże.

Wysunął się Strzepa, pokłonił królowi, oczy nań zewsząd obrócono. Nie wszyscy znali go, poczęto pytać, co za jeden był, i szmer się rozszedł po izbie.

— Miłościwy Królu — rzekł nieco chrypliwie — dobrym to jest na oko, ale i niedobrym się stać może. Po co masz z rąk swych władzę za żywota wypuszczać?

Czy to nam z tobą źle albo ziemie nasze cierpią na tym? Nieprzyjacieli, z pomocą Bożą odpierani, na

każdym kroku lęka się nas, w pokoju gospodarczym niczego nam nie brak, ino byś nam, Miłościwy Panie, zdrów był i jak najdłużej panował!

Przyjdzie kres od Boga wyznaczony, powoła Bóg dzieci twe, czas naówczas będzie, aby objęły, co im przypadnie. Po co sobie ręce wiązać za życia i zrzekać się tego, co Bóg zlecił? Mówię to z serca Wam oddanego, Miłościwy Właduko nasz, wszyscy, którzy cię miłują, nie radzi zmieniać pana.

Za Strzepą wnet niektórzy potakiwać zaczęli jak wprzód arcybiskupowi.

— Panuj nam! Króluj nam! — odzywali się. — Dali Bóg, przyjdzie czas na twe syny, wezmą, co im naznaczone. Żyj nam, panie! Żyj!

Rękę do piersi przykładając, począł król dziękować. Powoli szmer i wołanie przycichły.

— Jeżeli miłujecie mnie — rzekł Władysław — oszczędźcież sił moich, bom nie duż, reszty dni poświęcić chcę Bogu, abym u Niego na lepsze zarobił

królestwo. Policzone są dni moje, myśl słabnie, ręka drży, przez litość mi zastępców dać trzeba, abym o królestwo był bezpiecznym.

Odezwał się ktoś z tłumu:

— Czuwa nad nim pan wojewoda nasz!

— I czuwać nie przestanie — rzekł król, obracając się ku niemu — ja też patrzeć się, cieszyć i radzić będę, a młodszy niech próbują sił swoich; niech każdy z nich weźmie część mu przeznaczoną, aby więcej nie pożądał, a zgoda święta między braćmi panowała.

Znowu w gromadzie potakiwać głośno poczęto.

— Czyń, Miłościwy Królu, jakoś postanowił, czyń! — odezwał się

arcybiskup. Duchowieństwo całe powstało i jawnie oświadczając się za królem, przechyliło szalę.

Strzepa i ci, co z nim szli, zamilknąć musieli, poglądali po sobie frasobliwi i strwożeni.

Król się do synów obrócił.

— Chcę — rzekł — abyście poprzysięgli przed Bogiem, przed kapłanami

Jego, ojcami naszymi duchownymi, wobec tych oto ziemian, iż we zgodzie i pokoju mieszkać będziecie.

Zbigniew i Bolko, powołani, zbliżyli się do ucałowania ręki ojca i złożenia przysięgi, którą arcybiskup miał przyjąć, naprzód słowy serdecznymi do zachowania jej pobudzając. Za czym począł z wolna słowa wymawiać, które za nim powtarzali, i od kapelana wzięwszy księgę Ewangelii, dał im ją do pocałowania. Przykląkł pobożnie Bolko, pochylił się Zbigniew, na twarzy pierwszego widać

było uczucie i wzruszenie, na drugim radość zwycięską.

Znowu począł mówić, król, do zgody namawiając i podnosząc świętość

przysięgi, a obróciwszy się do arcybiskupa, żądał, aby to w księgach zapisanym zostało, co się dnia tego postanowi. Zbigniewowi wolą króla wyznaczone było Gniezno i Poznań, a po zgonie króla Mazowsze (ziemie, które składały diecezję ojca Marcina); Bolkowi przypadł Kraków, Sandomierz i Wrocław, to jest przedniejsza część królestwa.

Władysław kończył głosem drżącym, a zwróciwszy się do Bolka ze łzami w oczach, w głowę go pocałował i uściśnął.

I podział, i sama ta miłości ojcowskiej oznaka, krew poburzyły w

Zbigniewie, który bladł i kraśniał, oczy spuścił upokorzony, nie rzekł nic, do ręki ani kolana ojca się nie zbliżył, stał słupem martwym. Bolko upadł na kolana i nogi króla całował.

Milczenie dziwne panowało w izbie, ludzie spoglądali po sobie. Nie wszyscy byli radzi z podziału, osobliwie ci, co się Zbigniewowi dostali. Nierycerskiemu człowiekowi przypadała obrona granic najbardziej zagrożonych; a i ów wzrok przeszywający, wilczy, przyszłych poddanych napełniał trwogą. Wszystko więc na oko było dokonany, gdy wielki wojewoda, który na pozór obojętnie słuchać się zdawał, podniósł się; Oczy jego druhów zwróciły się nań ciekawie. Wiedziano, że on tu w istocie panem był, królem władał, i posądzano go nawet, że w swoich widokach podział ten zgotować musiał, nie dając znać po sobie.

— Miłościwy Królu — głosem pełnym i swobodnym począł, wojewoda —

gdyście rozporządzali królestwem swym wedle woli swej, słudze wiernemu słowo pozwólcie powiedzieć. Wiele się uczyniło, a nie dosyć. Było to państwo od dawna nierozdzielny, więc choćby teraz dwu panów mieć miało, jeden z nich głową być musi, przy jednym zwierzchnia moc zostanie. Któryż z dwu ma ją mieć?

Król spojrział nań oczyma błagającymi litości. Ciosem dlań było to pytanie, zmuszające do wybrania jednego, do upośledzenia którego z synów. Długo czekano, aby się Władysław zabrał na odpowiedź.

— Zaprawdę — rzekł król nieśmiało, wahając się. — Stary jestem,

niedołężny, widzę, co dziś jest, co jutro się stanie, odgadnąć nie mogę. Dzielę ziemię, ale wybierać jednego z dwu, gdy oba mi równo mili, nie chcę i nie mogę.

Któż wie, jak Bóg z nimi postanowi? Któremu z nich da moc? Jedno rzeknę, po mej śmierci wybierzcie sobie tego, który dzielniejszym rycerzem, obrońcą i opiekunem ziem tych będzie. Wam to zostawiam.

Złożył ręce król i zdawał się modlić.

— Gdyby się Bogu podobało skarać mnie, a obu im nie pobłogosławić;

gdyby się waśnili z sobą, z nieprzyjacioły się wiązały na zgubę państwa, niech odpadną od działów, niech im rządy będą odebrane, niech... — król dla łez dokończyć nie mógł.

W zgromadzeniu gwar powstał cichy i szepty. Widziano, że króla siły się wyczerpały, że wszystko już postanowione było, skończone, ruszać się poczynali ku drzwiom ziemianie. Arcybiskup laską uderzył o ziemię.

— Na świadectwo wzywam Was, bracia moi, jaka jest wola króla, pana naszego, a teraz dziękujmy Bogu i jemu.

Zawołano — Żyj, a żyj! — a drudzy z czeska się odezwali: — Boże, zmiłuj się nad nami! — Władysław mało co słyszał, tak był poruszony dokonaniem wielkiego dzieła. Komornicy znowu nadejść musieli i ująć go, aby do kościoła na hymn dziękczynny prowadzić.

Wkrótce potem, co żyło, cisnęło się na zamek, gdzie stoły otwarte czekały.

Bolko poszedł z ojcem do jego izby, bo stary spoczynku potrzebował.

Zbigniew zniknął. Zamiast przyjmować powinszowania i pokłony ziemian, którzy do jego dzielnicy należeli, poszedł za skinieniem Grety, która zza drzwi znak mu dała, iż mówić z nim chce pilno. Śmielej niż kiedy przedarł się do komnaty Niemki, do której dobrze znał drogę. Czekająca nań już strojna, niecierpliwa, nauczona pewnie, co mówić miała.

— Winszować Waszej Miłości — rzekła z pokłonem przesadzonej pokory szydersko — a, winszować!

— Dali mi gorszy ochłap kraju — odezwał się gniewliwie Zbigniew —

tak... ale ja cały mieć będę. Bolko sobie próżno tuszy, że z Krakowem nade mną przewagę otrzyma!

— Któż to wie? — odparła żywo Greta. — Wszystko być może, jeżeli Wy

sobie tak poczynać będziecie, jak dziś, nie po królewsku, a jak dziecię, co się nadaśa. Przez cały czas patrzyłyśmy z królową na Was, jawnie srożyliście się na brata, rzucaliście nań oczyma, jak byście go wyzywali. Toć mądra rzecz nieprzyjacielowi zawczasu oznajmywać: — Strzeż się, a pilnuj, bo oto rzucą się na cię!

Uśmiechnęła się biała panna i uderzyła w czoło.

— Kto chce podejść a obalić — rzekła — ten całuje i ściska, droży się i zbliża, aby tajemnice posiadał, a zemstę miał łatwą.

Zdumiony Zbigniew spojrział na nią spod brwi zachmurzonych.

— O, ty rozumna panno — zawołał — jakoś to wymądrowała!

— Widzi mi się, niegorzej — odezwała się Greta z uśmiechem —

czyńcież zgodę, a pospieszajcie póki czas, inaczej Wy mu nie sprostacie. My go z dzieciństwa lepiej znamy, mężny jest i silny, podstępem tylko, a chytrą wzięć go można.

Uśmiechnął się królewicz i Niemkę ująwszy w pól, pocałował w usta, które tak dobrą radę dawały.

— Nie takli? — spytała. — Nie mamli ja słuszności?

— Tak uczynię! — odparł Zbigniew. — Rozumne słowa Wasze.

Szeptać coś potem poczęli po cichu, ale już nie o Bolku i sprawach wielkich, zapewne o sobie. Greta się czerwieniła, gniewała, opierała zrazu, spuszczała oczy, uległa na ostatku, podali sobie ręce i Zbigniewa twarz zajaśniała weselem.

Aż do komnaty ustronnej dochodził gwar i śmiechy biesiadujących. —

Niemka nastawała, aby szedł na swe miejsce Zbigniew i odeгнаła go od siebie.

Królewicz pospieszył od niej do króla.

Tu zastał zgromadzonych arcybiskupa, wojewodę i Bolka około znużonego starca, któremu podczaszy wino podawał, aby nieco siły pokrzepił. W progu już Zbigniew rozjaśnił czoło, przybrał wesołą twarz. Szedł naprzód ojcu dziękować, który go pocałował w głowę, potem arcybiskupowi, poddając się jego opiece i zwierzchnictwu i prosząc o radę, na koniec zbliżył się do Bolka, stojącego na uboczu, wyciągnął doń rękę i uściskał go, na pozór gorąco i serdecznie.

Wszystko to wykonał królewicz zręcznie i nie dając poznać po sobie fałszu.

Bolko, choć wstręt miał do brata i od Santoka się doń nie zbliżał, łatwo dając się ująć sercem, zapomniał przeszłości, oddał uścisk i rad był, że do zgody wracali.

— Miłujcie się, a wspomagajcie nawzajem — rzekł arcybiskup — obu wam

z tym będzie bezpieczniej i dla ziem waszych lepiej. Niech braterskiemu przymierzu Bóg błogosławi!

Sieciech spojrział z dala na te objawy czułości, twarz mu się nieco skrzywiła, lecz wprędce, gdy król nań oczy zwrócił, uśmiechał się już, zdając uradowany.

Bolko, którego równie łatwo było pozyskać jak rozdrażnić, prędko we

wszystkim nad miarę, gorący, poddający się pierwszemu wrażeniu, pochwycił

Zbigniewa pod rękę i razem z nim wyszedł z komnat ojcowskich.

W podwórzu pełno było ludu, tłumy wszędzie. Usiedli na ławie w

przedsięwzięciu, aby być sami.

Zbigniew pospieszył z zapewnieniami pojednania.

— Od tego dnia — rzekł — będę ci druhem i bratem wiernym. Chcę się od ciebie uczyć rycerskiego rzemiosła, choć młodszym jesteś. Razem iść będziemy, razem nieprzyjaciół wojować, nic jeden bez drugiego nie czynić.

Bolko go uściskał powtórnie i począł z uczuciem gorącym:

— Przysięgam ci, dochowam wiary, znajdziesz we mnie brata i przyjaciela.

Zdrady ani serce, ni usta moje nie znają. Co czynię, to otwarcie i szczerze.

Zbigniewowi na słowach i zaręczeniach wymownych nie zbywało, ponowił

poręki i oświadczenia miłości. Mówili z sobą serdecznie, a Bolko który wylewał

się łatwo, po krótkiej rozmowie czuł się z nim, jak ze starym druhem zaufanym.

— Pospieszyles się, bracie — rzekł po chwili — i jużes sobie ładną Niemkę pozyskał z dworu królowej. Mówią o tym wszyscy!

Zbigniew się nie zapierał, śmiał się triumfująco.

— Gładkie liczko cię uwiodło — mówił młodszy — lecz gdybyś mnie chciał

posłuchać, tak rychło, jakeś ją wziął, radziłbym porzucić!

— Dlaczego? — spytał Zbigniew.

— Dziewczyna płocha i przewrotna — mówił Bolko. — Słyszałem od ludzi, że już miłośników miała wielu, a nikt cały od niej nie wyszedł. Zła jest jak żmija, choć jak niewinne dziecko wygląda. Najpierwsza rzecz, którą się będzie starała uczynić, że nas z sobą zwaśnić zechce, bo mnie nie cierpi i pomścić by się rada.

— Za co? — wtrącił Zbigniew. Bolko się nie chciał tłumaczyć.

— A! Babskie sprawy — odparł — nierycerska rzecz tym się zaprzętać.

— Nie boję się też ja lada dziewczki — rzekł Zbigniew — bo nad sobą kądzieli panować nie dam. Musi ona słuchać mnie. Mam rozum swój i radzić sobie nie dam długowłosemu stworzeniu. A Wam to niewiasty nie do smaku? — zapytał.

— Nie chcę ich znać! — odparł Bolko. — Z nimi człek mięknie, a nam rycerzami być potrzeba.

Uśmiechnął się starszy.

— Ja trochę inną mam naturę — rzekł — bawią mnie te łątki! Może dlatego, że ich przez długi czas zamknięty w klasztorze nie widywał, każda mi miłą i wonną jak kwiatusek.

Skrzywił się Bolko.

— Toć byś sobie już świeższego kwiatu dobrać powinien — rzekł. — Greta się już z wielą znała, a przez nią królowa z Wami czynić będzie, co zechce, bo jej do tego zażywa jak rybak złotego robaczka na wędce.

Starszy głową potrząsnął.

— Ze mnie gruba ryba, na wędę mnie nie wzięć — przemówił uśmiechnięty.

— Ani ona, ani królowa, ani nikt nie uczyni ze mną, tylko to, co ja zechcę. Nie weźmie mnie ani niewiasta, ani chłopiec, ani nawet duchowny żaden! Rycerzem jak Wy nie jestem, ale się z książek trochę rozumu nauczyłem i wiem, jako ludzie źli są, a jako z nimi chytrym być trzeba.

Zdradził się nieco królewicz tą mową, lecz Bolko mało zważał na nią.

— Przebaczone ci, że rycerzem nie jesteś — rzekł — boś w sutannie i

klasztorze nie mógł nim zostać, ale teraz. Teraz, bracie, rycerzem musisz być, nie chceszli wpaść w ręce jakiego wojewody i mir stracić u ziemian twoich. Siłę masz, na męstwie ci nie zbywa, poczynaj, a śmiało.

Zbigniew chytrze mu dziękował.

Ujęli się więc znowu za ręce i aby okazać wszystkim, jak wielką miłość ku sobie mieli, poszli razem ku stołom, około których ziemianie i władcy zasiadali.

Na widok przybywających niektórzy się podnosić zaczęli, witając ich i pozdrawiając, inni szli cisnąć się do ręki pańskiej. Gnieźnianie i Mazury, których było najwięcej, przyszłego pana w Zbigniewie przyjmowali, zalecając mu się ze służbami swymi. Krakowianie i Szlązacy ku Bolkowi się ściągali, uśmiechali doń, radzi wyborowi, bo sływał już jako rycerz dzielny, a tych naówczas miłowano najwięcej.

Gdy szli tak razem poza ławami i stoły, z dala niebieskie oczy Grety

sztydersko i zwycięsko się śmiały widząc, jak jej rozkazy posłusznie i prędko spełniano. Radowała się, nie dając tego po sobie poznać, królowa.

— Bolko zawsze porywczym był i bez rozeznania — mówiła do swej

ulubienicy — ten niezgrabny parobek, niepozorny, chytrzejszy od niego, zawojuje go i pokona.

Mijali Marka, gdy zbyt otwarty a szczery Bolko szepnął bratu:

— I tego ulubieńca Waszego radziłbym precz wygnąć!

— Co macie przeciw niemu? — zapytał ciekawie starszy.

— Patrzę i słucham, jak to zwyczajnie na dworze — mówił Bolko — widzę, że rycerskiej sprawy dużo ma na języku, a w ręku niewiele; słyszę, że potajemnie się z Sieciechem zna, po nocach do niego chodzi i na Was donosi.

Zbigniew niedowierzająco ruszył głową.

— Żli ludzie plotą nań — rzekł.

— A po cóż by im się to zdało, wszak na drodze nie stoi nikomu. Człek to niewiadomego rodu, przybłąda chytry, który tu miejsca nie zagrzeje, a obłowiwszy się uciecze. Tak o nim ludzie prawią, miejcie się od niego na pieczy.

Królewicz słuchał i przestroga go poruszyła.

— Bracie — odparł stając — coście się uwzięli poodpędzać ode mnie, co najmilsze mi i najpotrzebniejsze? Przed chwilą Gretę mi odradzaliście, aż i Marka.

Ten łotr służy mi jako pies wiernie.

— I jak sobaka cię potem pokąsa — dokończył Bolko. — Znajdziecie ludzi między swymi Mazurami i Gnieźniany, osiadłych ojcyców, z tych wybierzcie jednego. Dobrze Wam życzę i radzę, jak sobie.

— Łotr to jednak dogodny i zręczny — dodał Zbigniew.

— Ano, słyszałem o tym! — odparł młodszy. — Mówią, że bez zbroiczki, o podartym kaftanie i o jednym bodaj koniu się tu przybłąkał, a dziś już utył i szat, i szkap ma podostatkiem. Na błazna go trzymać, czemu nie, ale mu ani ucha, ani władzy nie dawajcie.

Zbigniew, słuchając rad tych otwartych, z serca płynących, zagryzł usta.

Zdało mu się, że Bolko młodszy lekce go sobie waży i ma o nim wyobrażenie niewielkie. Przerwał urażony:

— Słuchaj, bracie, jeśli ci się zda, żem ja głupi i ślepy, mylisz się. Widzę ja ludzi na wylot, a przez to, że ich znam, i najgorszego się nie boję.

— Jeśliś bezpieczny i czujesz się nim, czyn, jak ci lepiej! — rozśmiał się Bolko. — Grety się nie obawiasz, Sobiejucha ci na rękę, toć dobrze! Przestrzec nie wadziło. Ja moich chłopców wolę!

— Jam sobie jeszcze drużyny zebrać nie miał czasu — począł Zbigniew. —

Sobiejuchę jak psa na postronku trzymać będę, a Gretę... porzucę, gdy mi się uprzykrzy; teraz mi ona miła, bo dziewczka wesoła i obrotna, potem...

Zbigniew pogardliwie ręką rzucił i rozśmiał się. Bolko mu długo w oczy patrzył.

— Prawda to — rzekł — żeśmy się inaczej chowali: ja na koniu i w lesie, ty w klasztorze, ano, inną mamy naturę. Ty lubisz zabawiać się, choćby z dziewczką i błaznem jak Marek, ja nie. Ja w to wierzę i to kocham, co się nie przejada i nie przykrzy. Bodaj to wojna! Bój, rycerstwo, łowy, konie — to życie! Gdy rogi zagrają, serce mi rośnie, śpiąc roję, że lecę na Pomorców z podniesionym oszczepem. Dzień w domu długi mi jak wiek! A, bracie, chciałbym być do wielkiego Bolka podobny i granice ziem zatknąć daleko, aby je cesarze i królowie szanowali i drżeli przede mną!

Mówił Bolko z zapalem wielkim. Zbigniew pobladł. Słuchał tej mimowolnej spowiedzi młodzieńczej i uląkł się jej.

Bolko, postrzegłszy zmienioną twarz Zbigniewa, wstrzymał się nagle,

— Bracie — dodał — nie lękaj się, na twoją dzielnicę nie nastąpię, gdy zechcesz, będę twym wojewodą. Stań się ty wojownikiem wielkim, a ja za tobą pójdę posłuszny. Spójrz, co nam ziem powydzierano, co nam cesarze zajechali, co zagarnęli Czesi, co odebrała Ruś, co na Pomorcach odzyskiwać potrzeba; bo ci się ani chrzcić, ani nas, panów prawych, znać nie chcą. Na nas dwu jest dosyć do roboty, a gdyby z grobu powstał Bolko Wielki i Szczodry, oni by chyba podołali temu, co na nas uczynić przypadło!

Słuchał starszy w milczeniu, uląkł się tych myśli zdobywczych, tego zapалу rycerskiego i nie wiedział, czym odpowiedzieć na nie.

— Ja — rzekł z cicha i skromnie — nie chcę nic, jeno mój dział utrzymać i żyć w pokoju.

— W pokoju! — podchwycił Bolko. — Spytaj, czy ci go Pomorcy dadzą?

Mężny to lud, niespokojne plemię, srogie, okrutne, przebiegłej ale dobrze z nim, bo nam zgnuśnić nie dadzą; podbić ich potrzeba, nie wiem, krzyżem czy mieczem, nawrócić i zagarnąć, abyśmy morze mieli, brzeg swój i na cały świat drogę! Bez niej tośmy jak obmurowani w więzieniu! Jeśli się nie nawrócą, choćby ich wytępić przyszło! Morze nam potrzeba mieć lub nie żyć! Naówczas statki i czółna budować będziemy i z rycerzami puścimy się nowe ziemie zdobywać! W daleki świat!

Mówił, pałały mu oczy, drżał cały, postać jego rozogniona stała się tak piękną, wspaniałą, że Zbigniew małym i słabym uczuł się przy nim. Zazdrość ukąsiła go w serce, usta skrzywiły się niby uśmiechem, a żółć i gorycz uczuł na nich.

„Zdradziłeś się — rzekł w duchu — chce ci się panowania nad światem.

Jeden z nas dwu ustąpić musi, ty lub ja.”

Bolko otwarcie mówił mu: Bądź silnym, panuj, będę ci posłusznym;

Zbigniew myślał w sobie: „Zgiń, abym się ja wyniósł”.

IX

Po gwarnych dniach wiecowych wkrótce na płockim zamku pożądana dla

króla nastąpiła cisza. Zbigniew odciągnął do Gniezna, Bolko ruszył do Krakowa i Wrocławia, przy królu jeden Sieciech pozostał, schorzałego starca piastując niemal jak dziecię, a czyniąc z nim jak z dziecieniem, co zapragnął.

Ze dworu królowej w tym czasie znikła Niemka Greta, a Judyta, mocno po niej tęskniąc i ręce łamiąc, okazywała, jak by wcale nie wiedziała, co się z nią stało. Uskarżała się na tę stratę przed królem, a Władysław rzekł, że jako ją dosyć płochą zawsze znał, sądzi, iż w wielkiej ludzi gromadzie; co na wiecu byli, któremu w oko wpaść musiała, a ten ją sobie zmówiwszy, pochwyć musiał i uwieść.

Nie było to wszakże tajemnicą dla innych, iż w zwartym orszaku, który Zbigniew z sobą, nocą ujeżdżając, prowadził, znajdowała się pomiędzy dworem niewiasta z twarzą osłonioną, z której młodzież żarty nieprzystojne stroiła, a ona im po niemiecku, łajając, odpowiadała.

Bolko, zebrawszy swą drużynę i część wojska, ruszył na pusty i smutny zamek krakowski, na Wawel, który od śmierci królowej matki stał zupełnie opuszczony. Tu wspomnienia Bolka Szczodrego — żywe jeszcze, niedawno

przelana krew męczennika, ludzie obcy i przyjaźniejsi swojemu wojewodzie Sieciechowi, niedługo dali pobyc królewiczowi.

Pobłąkawszy się ze swą drużyną około Prądnika, Mogiły, Bielańskich lasów, Stankonia, obejrawszy pod zamkiem nad Rudawą kościół, który ojciec założył, u ludzi znajdując twarze chmurne, rycerstwo jakieś zdiczące i niepochopte, by się garnęło ku niemu, wołał się Bolko przesiedlić do Wrocławia i tam przesiadywać.

Magnusowi i tym, co się koło niego gromadzili, więcej mógł ufać niż

Krakowianom, Sieciechowi oddanym.

Na dzielnice swe poszedłszy, królewicze żyli, jako z nich któremu przystało.

Zbigniewowi Pomorce do czasu spokój dali i granic nie napastowali, dawnymi wyprawami popłoszeni.

Nadeszła zima, wiosna, i tak znowu Sieciech cierpliwie czekał zręczności, aby myśli swej dokonać bezpiecznie. Nie wiodło mu się. Brakło powodów do zaczepki, do napaści, do zwaśnienia. Królowa się niecierpliwiła zwłoką, trzeba było poczynać coś, aby koniec przyspieszyć.

Pod okiem króla spiskować nie mógł tak swobodnie; duchowieństwo było

mu w znacznej części nieprzyjazne, zjechał więc do dziedzicznego Sieciechowa swojego, gdzie

panem był i na przyjaciół dokoła mógł liczyć. We wszystkich też ziemiach miał sojuszników wiernych dotąd, którzy mu o wszystkim donosili i czekali rozkazów.

Był już Sieciechów naówczas grodem warownym, na którym pańskie dworce i opactwo benedyktynów na jednym się niemal podwórku mieściły. Od Chrobrego czasów mnożyła się tu chwała Boża pod osłoną grodziska mocnego, które pokój zabezpieczało. Sieciech też dla własnego bezpieczeństwa umocował był jeszcze zamczysko nad Wisłą, wałami je silniejszymi obsypał, tykami potężnymi otoczył i trzymał tu wybraną załogę, bo choć w kraju panem był, knując sam zdradę, wrogów się lękał i pokoju nie miał.

Budowy opactwa i zamkowe graniczyły z sobą; Sieciech, królewskie nadania dla benedyktynów pomnożywszy, obdarzając klasztor ciągle, z opatem i

przełożonymi będąc w związku statecznym, przez zakonników wiele mógł

wiedzieć i działać. Mnisi byli mu przychylni, żyjąc niemal chlebem jego.

Miał Sieciech, jak naówczas wielu możnych panów, żonę z Rusi, kniazia córkę, która mu znaczne wniosła bogactwa. Tę na zamku swym chował i syna wyrostka, który przy matce i pod opieką księży rosł, zawczasu się

przysposabiając nauką wszelką do świetnego losu, jaki ojciec miał mu zgotować.

Kształcono go na rycerza zarazem i na człowieka, co by drugim rozkazywać umiał.

Dwór prawie królewski był w Sieciechowie, szczególnie z przedniejszych ludzi wojennych złożony, których wojewoda rad sobie do boku dobierał. Topory, do których Sieciech się liczył, rozrodzeni byli i prastarzy w tym kraju, mało z którym rodem władków i ziemian możniejszych nie spowinowaceni. Wszyscy oni, jak to naówczas obyczajem i prawem było, za ręce się trzymali, a kto się do krwi liczył, musiał ze swymi iść na zawołanie wszelkie. Sieciech swojego rodu był

naówczas głową najstarszą i naczelnym wodzem; słuchali go wszyscy powinowaci, pokrewni, podrużeni. Nie było grodu nie tylko w Krakowskim, Sandomierskim, na Szląsku, nawet w Mazowszu, w Gnieźnieńskim, gdzie by z ręki Sieciecha nie siedział starosta albo tysiącnik z pułkiem, albo ktoś znaczny, który sprawy jego pilnował i na skinienie był gotowym. Gdzie, jak we Wrocławiu, namiestnika miał

nieprzyjacielem, dziesięciu około niego kupionych drużów na straży stawił.

W Płocku siedział ten, co się jeszcze królem nazywał, ale w Sieciechowie wojewoda królował, na całą ziemię wyciągając ręce, nie bardzo zważając na młodych panów, którym bujać dawał do czasu.

Patrzył z dala, co robili. Gdy Bolko, zasiedziawszy się w Krakowskim i na Szląsku, począł sobie coraz bardziej jednać ludzi i swobodniej poczynać, donoszono o tym wojewodzie i dłużej już ścierpieć tego Sieciech nie chciał. Młody królewicz groźnym się stawał. Król chorzał i słabł coraz bardziej, trzeba było coś począć i kości rzucić, nie czekając dłużej. Przybył w tej myśli do Sieciechowa wojewoda, przez posły tajemne powołałszy zaufanych ku sobie.

Wieczorem dnia letniego, gdy Sieciech na zamku sam jeszcze był, a

stęskniona po nim żona frasowała się, przyjmując go, iż przybył jej ponury, nie przyniósłszy z sobą do domu wesela, oznajmiono Strzepę, który był prawą ręką wojewody.

Ów Strzepa wyrósł z niego, jemu winien był wszystko, lecz też szyję za niego dać był gotów. A był to człek, co się niczego nie wzdrygał, ani pokłonić i uniżyć, ani porwać i zabić, ani zdradliwie zasiąść. Takim zawsze był, jakim go pan mieć chciał. Dał mu Sieciech siostrę w małżeństwo, majątności z nią, a do nich obiecywał jeszcze więcej. Siostra ta wprawdzie niemłoda już była, twarzy niepięknej, humoru niemiłego, ale ona go wiązała z Sieciechem, a wojewoda panować miał i kraj cały pod siebie zagarnąć. Z dawna to już obmyślanym było, jako i to, że żonę swą rzucić miał, aby wdowę po królu, siostrę cesarską poślubić.

Gdy Strzepa przybył, choć doma wszystkich Sieciech zdał się być pewnym, wnet z izby precz wyszli na wał nad Wisłę, aby się tam naradzali swobodniej.

Strzepa, choć bratu, jak panu się do kolan kłaniał. Sieciech dumny, już się czując niemal królem, hołdy te jak należne od niego przyjmował.

— Strzepa — odezwał się, na wały wyszedłszy i po okolicy się z nich rozglądając — czas nadszedł, pora co poczynać.

— Myśmy też pogotowiu — odparł przybyły — rozkazujcie, co czynić mamy.

— Zbigniewa się nie lękam — począł wojewoda — Bolka się pozbyć

potrzeba. Rośnie, mężnieje i straszonym stać się może. Porywczy i zapalczywy jest, pójdzie z nim łatwo.

Zdawali się naradzać, patrząc sobie w oczy, aż Strzepa się odezwał.

— Cóż, ludzi nań nasadzić, gdy na łowach będzie, krótka sprawa...

Mówił zimno i obojętnie, jak by o małą rzecz chodziło.

— Bez ludzi się nie obejdzie — odparł Sieciech — niełatwo mu podołać.

Drużynę z sobą wodzi nieodstępna. Ludzie języki długie mają, wyda się zdrada i rzucą ją na mnie. Nie można.

— Lepiej wicie, jak czynić — przerwał Strzepa — przykazujcie. Zrobi się, jak zechcecie.

Wojewoda, obejrawszy się, zbliżył się doń, jak by tu nawet, gdzie byli sami i żadna żywa dusza

dokoła się nie okazywała, nie czuł się jeszcze bezpiecznym, lękał podsłuchania i zdrady.

— Bolka na Czechów wyprawimy — rzekł. — Granica tam nie śpi,

najeżdżają ją ciągle, król na nas czyha. Nie brak powodu do wyprawy. Puścimy posłuchy, że na nas chcą zrobić wycieczkę, Bolko pójdzie otoczony naszymi, pójdiesz i ty z nim.

— Pójdę! — rzekł krótko Strzepa.

— Weźmiesz co pewniejszych, Halkę, Strzegonia, Zużłę, Zaboja, kogo

wyberzesz. W lasach czeskich napotkacie pewnie rabusiów gromadę jaką. Bolko się zapędzi za nią, wówczas wasza rzecz, żeby zginął. Nie powie nikt, aby z ręki naszej, na to Czechy są.

Strzepa pomyślał nieco.

— Stanie się, jako postanowicie — rzekł. — Trzeba będzie jednak oderwać go od drużyny. Chłopcy młode, zażarte w boju, czujne i na krok go nie odstępują.

— Bolko, gdy zoczy nieprzyjaciela, nic go nie strzyma — mówił Sieciech.

— Wasza rzecz odwrócić drużynę i rozerwać ją. Gdy się sam jeden zapędzi w lasach, któż wie, jak zginąć może? Czechów nasadźcie.

— Czechów nam nie trzeba — odparł chmurno Strzepa — zasadzkę

uczynimy pewną. Pomówcie jeno i z innymi, abym sam nie był.

— Zwołałem ich wszystkich — cicho rzekł wojewoda — z tamtymi wszakci, jak z tobą, mówić nie chcę. Twoja sprawa zagaić z nimi.

Choć gotów na wszystko, choć posłuszny, a rad się wysłużyć szwagrowi, Strzepa, wzięwszy rozkaz, zadumał się głęboko, nie taił przed sobą, że sprawa ciężką była.

Sieciech, zbywszy się tego, co miał na myśli, wnet urwał rozmowę, zdając na szwagra resztę. Nierad był mnożyć słowa, w których krew już czuć było.

Nie czyniło mu wstrętu dobijać się panowania mordem i zdradą, bo w owych czasach wielu tą drogą do koron i władzy dochodziło, ale słowa nad czyn mu były przykrzejsze. Takie były pojęcia ówczesne religijne, że pobożny Sieciech na intencję, aby mu się w jego zamiarach powiodło, u benedyktynów zamówił

modlitwy, kościołom przyobiecał dary, starał się o relikwie sądząc, iż one mu dadzą zwycięstwo. Nie zwierzył się wprawdzie zakonnikom z tym, o co się kusił, ale po wszystkich ich kościołach zakupił na tę intencję nabożeństwa. I modlono się za powodzenie oręża szczodrego wojewody. Tak samo naówczas święcono na ołtarzach sztylety, które do zabójstw służyć miały, i potajemnie o relikwie je ocierano.

Spiskowi wszyscy zjechać mieli tegoż wieczora do Sieciechowa; jakoż

przybył wkrótce Strzegoń, po nim Zuźła i Halka, a w końcu Zabój, którego Żelaznym nazywano.

Wszyscy zaraz poszli pokłon złożyć naczelnemu panu swemu, który

okazywał się wielce łaskawym i wesołym. Pytał o oddziały wojska, o stan grodów, ale o tym, o czym mówił ze Strzepa, nie wspomniał nikomu. Po królewsku gości i czeladź ich przyjmowano, gospodarz ochoczo zabawiał ich, a gdy do wieczerzy zasiedli sami, bo Julianna, żona Sieciecha, nie pokazywała się wedle ruskiego obyczaju, czeladzi precz odejść kazano i wojacy przy dzbanach wina i miodu poufną rozmowę poczęli. Wszyscy dowódcy ci byli z dziecinnych lat zakuci we zbroje, nawykli do rozlewania krwi i lekceważenia własnego i cudzego życia.

Strzegoń głowę już miał siwą, choć twarz czerstwą, i pamiętał Szczodrego kijowską wyprawę. Zuźła, młodszy, z małego człeka wybrany i na dowódcę podniesiony przez Sieciecha, który w nim roztropność ocenił, posłuszny był swemu panu, nie pytając, co mu przykazywano. Halka, milczący i, niepozorny, siłacz znany, który ładowny wóz z góry idący za koło powstrzymał i nosić za sobą kazał miecz dwum ludziom, co go ledwie mogli udźwignąć, do oprawcy był podobny.

Czoło miał niskie, brwi nawisie i twarz szpetną, ale w polu cudów dokazywał.

Zabój, Żelaznym zwany, który zbroi nie zrzucał prawie, a nosił tak ciężką, iż drugi upadłby pod nią, choć z Czech pochodził, jak wielu innych naówczas w Polsce osiadłych, już się był całkiem ożenieniem i służbą wcielił między Krakowiany.

Na wszystkich Sieciech jak na Strzepę mógł rachować, tak sądził

przynajmniej.

Wojewoda miejsce zajmował w końcu stołu, na krześle podniesionym, po

monarszemu prawie; po obu stronach jego siedzieli Strzepa, Strzegoń, Zuźła, potakujący śmiechami, Halka, który pił i milczał, i Zabój z bystrym wejrzeniem. W

głowach ich już wino i miód wesołe myśli rodziły.

— Cóż? Strzegoń, ty stary, z młodego pana rad jesteś? — spytał wojewoda.

— Ja go z dala widzę tylko, dzieciak to jeszcze — odparł siwy wojak — ale krew dawnych Bolków w nim się odzywa. Jak nie zginie za młodu, wojak z niego dzielny będzie.

Nie bardzo się ta pochwała podobała Sieciechowi, zamilkł i spojrzał pytająco na Zuźłę. Ten się rozśmiał.

— Za wcześnie się rwie i poderwie się jak młody koń — rzekł, głową

potrząsając — nadto gorący.

— Ja też tak myślę — potwierdził Sieciech.

Halka popatrzał, rękę ogromną, namulaną, do kubka wyciągnął, białka mu w oczach łysnęły, wąsa potargał. Zabój Żelazny rozśmiał się:

— Co tam o tych wróblach gadać, kiedy my orłów mamy — zawołał,

wskazując na Sieciecha — nie trzeba nam młodych wodzów, dawni starczą!

Wojewoda, jak by nie słyszał, odezwał się:

— Król nam coraz gorzej niedomaga, chory jest, życie z niego ucieka, jak na dwu przyjdzie królestwo, rozchwycą je sąsiedzi.

— Dwie głowy — dodał Strzepa — to gorzej jak żadna. Nikt nie przeczył, Sieciech powstał z siedzenia, drudzy za nim ruszyć się chcieli. Dał im znak, aby pozostali, okiem rzucił na Strzepę wskazując mu, że pora nadeszła, i wyszedł z komnaty.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, obejrzał się Strzepa.

— Między swymi jesteśmy — odezwał się — czas podobno co poczynać.

Sieciech nam panować powinien, nie kto inny. Nim król umrze, trzeba, jeśli nie obu, jednego się królewicza pozbyć.

Niektórzy głowami potakując ruszyli, wszyscy milczeli.

— Na wyprawie, po lasach i w utarczce — dodał śmiejąc się — toć to ludzie giną jak muchy.

Żelazny pogładził głowę, dając znak porozumienia.

— Nam co do tego — mruknął — jak każą, by go nie było, to go nie będzie.

Co wielkiego!

— Pewnie — rzekł Halka i w stół uderzył.

— A pewnie — powtórzył Zuźła.

— My, a nie kto, pójdziemy z nim na granicę, przeciw Czechom — począł

prędko Strzepa i dodał ciszej, oglądając się wkoło — trzeba skończyć.

Wyrazisty ruch ręki domówił reszty. Nikt się nie myślał sprzeciwić.

— Jak nasz pan wojewoda zostanie sam — mówił dalej — mogę zaręczyć,

że każdemu ze starych sług swoich tyle nada ziemi, lasów i osadników, iż go możliwym na wiek uczyni. Nie kto z nim panować, będzie, tylko my.

— A kiedyż na Czechów pójdziemy? — zapytał pochylając się Zuźła.

— Bardzo prędko — dodał Strzepa.

Jeden Strzeżoń siwy milczał jakoś i nie dawał znaku żadnego. Obrócił się ku niemu szwagier Sieciecha:

— A Wy co na to mówicie?

— Ja? Albo to wątpicie, że pójdę, gdzie mi każą? — rzekł Strzeżoń. —

Widzicie, zem posiwiał w służbie, a nigdy od wodza nie odstał.

Rozmowa tak rozpoczęta coraz się cichszą stawać zaczęła i poufniejszą; wszyscy ponachylali głowy i słuchali Strzeży, który głosem stłumionym nieco, ale wyraźnym opowiadał coś i tłumaczył. Potakiwano głosami i uśmiechami.

— Tymczasem — głośniejsz odezwał się Strzepa — trzeba, aby tam jeden z

naszych przy nim był, który by mu się w łaski wkupił, radził i prowadził. Chłopiec jak ogień, byle na łowy i wojnę, polecą w ciemną noc, gotów samotrzeć na pół

sotka. Sprawą tego, kto do niego przystanie, będzie, aby go zaprowadził, gdzie potrzeba. No, kto z nas? Ja bym chętnie poszedł, ale mnie znają, zem Sieciechów brat i druh, koso na mnie patrzeć będą. Trzeba takiego, na którego by posądzienia nie było, z czyjej jest ręki.

— Ej — odezwał się Zuźła popijając — bić to bić, jam do tego, a ugadywać i prowadzić się nie zdam. Rozumniejszego trzeba.

Halka ogromną swą pięść zaciśniętą wyciągnął i na stole położył na widoku.

Była to jakby odpowiedź niema, że jego siła cała w pięści się mieściła.

Czech Zabój kiwnął głową.

— Jam gotów — rzekł — ano Magnus mnie dobrze zna, z kim ja chodzę i

komu służę, tom się też nie zdał do niczego.

Zostawał Strzeżoń stary, słuchający obojętnie; spojrzeli nań.

— Mnie gdzie poślą, pójdę, a co każą, zrobię — odezwał się krótko.

— I na Was nie padnie poszlak żaden — począł Strzepa zwracając się ku niemu. — Wyście starzy,

pamiętacie Bolka Szczodrego. Młody królewicz słuchać o nim lubi, łatwo się do Was przywiąże, pokocha. Jak nie Wy, to nikt!

Strzegoń, który oczy miał w stół wlepione, nie rzekł ani tak, ani nie Bębnił po drzewie palcami, słuchając, jak by się to go nie tyczyło.

— Pójdziecie z Waszym oddziałem pod Wrocław — mówił Strzepa. —

Staniecie tam z rozkazania króla i wielkiego wojewody przy królewiczu. W kilka dni, jak on do wszystkiego ochoczy i prędko, za serce go chwycicie.

Na te słowa Sieciech wszedł i rozmowa się zwróciła inaczej.

— Mnie się widzi — odezwał się do niego Strzepa — że Strzegonia z

pułkiem zawczasu by królewiczowi posiać było potrzeba. Gdy iść przyjdzie, będzie ludzi miał pogotowiu. Pod Wrocławiem wykarmić się łatwo.

Szwagrowie w oczy sobie popatrzali. Sieciech na siwego dowódcę spojrzął i rzekł:

— Tak radzicie?

— Tak my to uradzili społem — odezwał się Zuźła — nie ma między nami drugiego, co by królewiczowi mógł lepiej usłużyć.

To mówiąc rozśmiał się; Sieciech nie dał poznać, że rozumiał, o co chodziło, i po namyśle dodał:

— Jeżeli Strzegoń gotów, czemu nie, niech idzie.

— Ja idę, gdzie mnie posyłają, nie przebieram — rzekł Strzegoń — żołnierz zna wodza tylko, a woli swej nie ma.

— Prawda, ale przeto rozum swój mieć powinien — wtrącił Strzepa — aby go pożyczać nie potrzebował.

Zaczęli się śmiać drudzy, Halka swe ogromne pięści, którymi się chwalić lubiał, na stole trzymał ciągle, jak by nimi chciał mówić, że one żołnierzowi od rozumu były potrzebniejsze.

Tak się skończyła narada. Sieciech odpuścił swoich, po kubku jeszcze na sen im dając wina z korzeniem gotowanego. Pokłonili się wszyscy i rozeszli na nocleg, jedni do dolnej izby na zamku, inni, dla gorąca, pod swoje namioty, jeden do ojców, do klasztoru.

Strzegonia, gdy już miał odchodzić, Strzepa za rzemyk od kaftana pociągnął

i zatrzymał, poczynając mu coś szeptać na ucho. Znali go, że na starość skąpym się stał a chciwym do

zbierania złota. Zręczny Strzepa ująć go chciał zaraz i odezwał

się, że na dwór królewiczowski jadąc wystąpić trzeba było przystojnie, więc łańcuch by się zdał na szyję. Strzegoń miał wprawdzie stary, lecz niepoczesny.

Poszedł pośrednik do wojewody i wprędce powrócił, niosąc łańcuch ciężki i piękny, a prócz tego kubek misternej roboty.

Staremu, gdy chował te dary, aż się oczy zaśmiały.

— To Wam pan wojewoda przysyła — rzekł Strzepa — bez liku, a jutro z

podarków dla wszystkich przeznaczonych swoją część odbierzecie. Od Was najwięcej zawisło. Trzeba, żeby królewicz Wam zaufał. Za serce go weźmiecie o bitwach mu opowiadając. Okażecie mu miłość, to ją Wam odda w trójnasób, bo taki on jest.

Strzegoń słuchał uważnie, ale mówił niewiele; zdało się więc nauczycielowi, że mu w pamięć wrazić potrzeba to, czego po nim wymagano. Poprowadził go z sobą na wały, a że noc piękna była, księżyc przyświecał, skwar ustał, przechadzali się jeszcze.

— Jako Wasz druh, ostrzec was muszę — mówił Strzepa — czego należy

unikać, a co robić. Zbytńio się z miłością dla pana wojewody nie chwalcie ani okazujcie, że mu we wszystkim jesteście podlegli, to by od Was ich odstręczyło.

Lepiej, choć byście czasem i plunęli na nas, mruknęli a stęknęli. Za to Was kochać będą. Królewicz go nie lubi, Magnus mu zazdrości i lęka się, a co przy nich jest, wszystko nasze wrogi. I Wy też w to grać musicie.

Strzegoń głową potwierdzał. Rad nierad musiał słuchać do zbytku długiej nauki, którą Strzepa nie jeden raz powtarzał i jeszcze by może nią nękał starego żołnierza, gdyby kury piac nie zaczęły i dzwonek do chóru nie odezwał się w klasztorze. Dopiero go odpuścił. Strzegoń, głowę zwiesiwszy, powlókł się na swoje posłanie.

Nazajutrz przez dzień cały pojedynczo wołał do siebie wojewoda zebranych dowódców i umawiał się sam na sam z nimi. Przyjmowano ich gościnnie,

obdarzono, pojono i karmiono, a wielkie obietnice na przyszłość czynił Sieciech i Strzepa. Trzeciego dnia okrytych sukniami kosztownymi, opatrzonych we zbroje nowe, odpuścił dopiero wojewoda, zapewniwszy się, iż wolę jego spełnić są gotowi.

Po odjeździe dowódców, gdy jeden Strzepa pozostał, w obecności opata

benedyktynów, którego z wielką czcią na dworze przyjmowano, właśnie gdy siedzieli na rozmowie, posłaniec nadbiegł pilny, jakoby od czeskiej granicy. Wobec gości tych, dworu i mnóstwa czeladzi goniec sprawił swe poselstwo donosząc, że znad granicy czeskiej wiedziano na pewno, iż napad na Szląsk się gotował.

Przysłany był z tym, aby się co najrychlej do odparcia i obrony miano, siły gromadzone, gdyż na Wrocław Czesi się sposobili.

Wieść ta, rzucona tak jawnie, popłoch sprawiła wielki; wojewoda wziął bardzo do serca niebezpieczeństwo i natychmiast chciał jechać z tym do króla.

— Bez króla, pana naszego — rzekł do opata — ja synom jego rozkazywać nie mogę i nie chcę; królewiczowi Bolkowi potrzeba naprzód dać znać, aby się starał zamach uprzędzić i szedł na granicę czeską. Na całą noc jadę do Płocka...

Natychmiast posłańców wyprawiać zaczęto na wszystkie strony, Strzepa też na koń siadł, a wojewoda jakby w przededniu wojny, ledwie żonę i syna uściskawszy, przed świtem jeszcze puścił się do Płocka.

Umyślnie puszczonego postrach napaści czeskiej rozbiegł się po kraju.

Chciano, ażeby do Wrocławia nie z jednych ust doszedł. Zręcznie podano wieść przez duchownych, wojsko i ziemian, którzy łatwo uwierzyli pogłosce.

Od grodu do grodu jadąc, wojska i załogi do pochodu nakazując, Sieciech zdążył do Płocka. Zatrzymywał się umyślnie po drodze, ażeby wiadomość o napadzie uprzędziła go. Chory król, którego nie oszczędzano, zafrasował się i strwożył mocno o dzielnicę Bolkową i ukochanego syna. Wysłał po Sieciecha i czekał nań jak na zbawcę.

Nadjechał wojewoda tak pożądanym, a nim zbroję podróżną zdążył złożyć z siebie i przeodziać się, już komornicy króla biegli, aby ku niemu pospieszać. Słaby król w obawie niewysłowionej bronił się modlitwami; nakazano nabożeństwa po kościołach na odwrócenie niebezpieczeństwa.

— Zbawco mój — zawołał król do wchodzącego — spiesz na ratunek! W

tobie nadzieja! Szląsk i Bolka ratować potrzeba co najrychlej!

— Miłościwy Panie — odparł Sieciech — dano i mnie znać o tym, byłoby

się już coś uczyniło, nie chciałem rozkazywać bez Was. Wy musicie rozporządzić.

— Ślijcie natychmiast pułki w pomoc do Wrocławia! — wołał Władysław.

Królowi każda chwila stracona była groźną, naglił więc trwożliwie, aż wojewoda, chcąc dać czas Strzegoniowi, aby sobie królewicza zjednał, zaręczył, że czeska wyprawa nie tak rychło miała nastąpić i wiedział pewno, że dopiero z początkiem jesieni nastąpić mogła. Na przygotowania więc, na uprzędzenie jej dosyć było czasu. W ówczesnych wojnach prawidłem było niemal, zamiast stawić czoło nieprzyjacielowi, pospieszyć przed nim i kraj mu spustoszyć. Tak chciał

Sieciech uczynić.

Król mało się co zapewnieniami jego dał uspokoić, sama jednak

przytomność wojewody znacznie trwogi ujęła, bo na jego ramiona król mógł

złożyć staranie o obronę. Wojewoda umiał dobrze w pańską myśl ugodzić, zarówno rozdrażnić go i ułagodzić. Królowa pomagała skutecznie i z wolna chory do zwykłego wrócił stanu. Jak trzcina za wiatrem chylił się, gdzie chciał wojewoda.

Z obawy o ukochanego Bolesława z początku król chciał się kazać Zbigniewowi do niego przyłączyć. Byłoby to popsuło wszystko i utrudniło zasadzkę; Sieciech więc starał się przekonać Władysława, że od pomorskich granic sił nie można było odciągać, a to, co Bolkowi posyłano, starczyło na zwycięskie Czechów odparcie, bo ci się nie spodziewali zastać gotowych.

Zbigniew, choćby wiedział był o niebezpieczeństwie brata, z pomocą dłań pewnie by się był nie kwapił. Trwała jeszcze zgoda i miłość między braćmi na pozór, lecz starszy znacznie ostygł i do Gniezna się usunąwszy, milczał. Tu wpływ Grety przygotowywał go do przyszłych a nieuchronnych zapasów z Bolkiem, a Niemka zręcznie do zemsty i zdrady podbudzać umiała. Pod okiem arcybiskupa nie śmiałyby był jawnie ją na dworze okazywać Zbigniew; ukrywano więc przed duchownymi tę zdobycz, aby królewicz za rozpustę i złe życie nie był strofowany.

Wolno było dawniej książętom brać, kogo chcieli, i zrazu obyczajom starym folgowano, patrząc na to przez szpary; teraz duchowieństwo, surowsze coraz, wymagało ślubów i błogosławieństwa kościelnego.

Sędziwy arcybiskup mało wiedział, co się na książęcym dworze działo;

łatwo przed rum było osłonić Niemkę, która w osobnym dworcu siedziała, a Marko w razie potrzeby miał się jej mężem uznawać. Płocha Niemka tego mniemanego małżonka swojego przyjmowała dosyć chętnie, zabawiając się jego opowiadaniem i żartami; Marko też wolał być u niej na straży niż na wałach i przy koniach. Przez Gretę i Marka wojewoda Sieciech uwiadomiony był o tym, co się tu działo, i w potrzebie się spodziewał Zbigniewem kierować.

Życie w Gnieźnie gnuśnie się wiodło; królewicz o nic nie dbał więcej krom wspaniałości i blasku, jakim się otaczał o rycerskich sprawach myśli ni mowy nie było, a choć dla oka sprawiano zbroje, zbierano konie, psy i sokoły, Zbigniew ani spytał o nie, chyba gdy miał występować i cały tabor ten za sobą dla okazania swej potęgi i wielkości prowadził. Resztę czasu spędzał z lada kim, byle mógł się z wymową i rozumem popisać, znalazł, kto by go słuchał i potakiwał a chwalił.

Z zamku ruszał się rzadka, chyba go który z możnych na łowy i ucztę

zaprosił. W tych wyprawach po dworach i on, i ludzie, co z nim byli, najczęściej sobie nieprzyjaciół robili, bo się nie obeszło bez kłótni i swawoli. Po drodze jadąc zabierano strawę, pędzono podwody, wybijano ludziom zboża. Ze skargami przybywających do siebie przyjmował też Zbigniew niechętnie, częstokroć długo im każąc czekać na siebie, występując okazale, ale karmiąc licho, z prostodusznych ludzi wyśmiewając się w oczy bez litości. On, co pismo znał, miał się za najmędrszego ze wszystkich. Mało kto rad był z tego pana. Szemrali władcy, arcybiskup tylko bronił

go, bo przed nim układać się umiał, obiecując, że z niego człowiek urośnie do rządów i państwa obrony.

Dnie częstokroć całe schodziły na tym, że na w pół leżąc, pół siedząc na ławie, Marka trzymając u progu, królewicz prawił mu, co uczyni, jakie przedsięweźmie kroki dla opanowania władzy; jak wszystkich podejdzie, pozbędzie się i jaki dwór naówczas, cesarskiemu dorównywający, na stolicy swej osadzi. Toż samo wieczorami powtarzał Grecie i zaufanym kilku duchownym, których zapraszał, aby miał z kim rozmawiać i przed kim się chwalić z rozumem.

Przesiedziawszy dni kilka gnuśnie, znudzony, kazał występować drużynie, trębaczom, czeladzi i ze wspaniałym orszakiem wyruszał do którego z grodów, zabawiając się tym, iż ludzie przed nim na kolana padali i tłumnie się zbierali przypatrywać dworowi jego. Z wielką wrzawą wjeżdżano do każdej osady, ciągniono powoli, czeladź dokazywała, a Zbigniew tym nudy swe rozrywał.

Czasem na wspomnienie rycerskich czynów Bolka napadała go chętka

spróbowania siły i zręczności. Niedługo to jednak trwało, bo mimo pomocy dworzan Zbigniew nie dał sobie rady z orężem i koniem; zły powracał, gniewając się na wszystkich za własną niezgrabność. W końcu też począł utrzymywać, że dla wodza niepotrzebną jest siła dłoni, ale rozum i przebiegłość. Naśmiewał się z Bolka, że na równi z prostym ludem do boju chodzi, bo nic innego by nie potrafił.

Sławili wielkość pana pochlebcy, co go otaczali, z Markiem na czele; ale Sobiejucha nawet nie bardzo wierzył w to, aby doszedł, czego pragnął i o czym tak szeroko lubił rozprawiać. Oprócz arcybiskupa, który mało co widział, wszyscy zwątpili o nim, bliżej nań patrząc, a gdy ze swymi będąc odzywał się o ojcu, o bracie i o tych, którym winien był ocalenie, widzieli, że i na serce w nim rachować nie było można. Pochlebstwo jedno trafiało doń, choćby najmniej zręczne. Marko umiał, co chciał, zyskać u niego, nauczyła się Greta, naśladowali ich inni.

W tej beczynności siedząc i czekając, aby los za niego coś robił, posyłał

Zbigniew szpiegi na dwór ojca, do Wrocławia i Sieciechowa i zabawiał się przynoszonymi wieściami, z których zawczasu przyszłość dla siebie

najszczęśliwszą wróżył.

Koniec tomu drugiego

Rysunek : Bolesław III Krzywousty (Jan Matejko).